



WYBOR PISMA

W PODCZAS

7/2

4.

SEWER.

WYBÓR PISM. J. 10

W PODZIEMIACH

Powieść.

Łę. Lewandowicz.

WARSZAWA.

Nakład „WĘDROWCA”.

Warszawska Drukarnia Estetyczna, Wielka 25.

—
1902.



130733

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Августа 1902 г.



I.

rzystu kawalerzystów francuzkich, składających dwa dobrze przetrzebione szwadrony, rozłożono w młodym dwu morgowym lasku sosnowym. W skleconych na prędcie szłasach spali żołnierze opierając głowy na garstkach siana. Spali twardo trzymając konie za cugle. Tak każe regulamin wobec nieprzyjaciela, tak każe przezorność. O strachu mówić nie wolno żołnierzom, którzy dźwigają na ramionach trzy zwycięstwa, a przeszłość ich świeci dwunastu szarżami. Konie otulone w koce, wydobywały delikatnie wargami z pod głów żołnierzy, skradzione im siano, ogrzewając ich twarze parą swych nozdrzy.

Ciszę przerywało parskanie koni — żucie siana—i przyciszone odgłosy stąpań żołnierzy, czuwających na czatach.

Czerwone słońce wschodziło rumieniąc białą całun ziemi—krwią. Zaświeciło ogniście i zga-

sło za szaremi rozwleczonemi po niebie chmurami. Trąbić zakazano. Stary sierżant brnąc po śniegu, budził i kłął swym zwyczajem, obrywając kawałki lodu z sumiastych wąsów.

Pobudkę sierżanta pierwsze zrozumiały konie. Otrząsły się, wyprostowały, podniosły łby w górę i ciekawie spojrzwały w szarą, ołowianą przestrzeń. Zrobił się ruch w obozie. Jedni z żołnierzy obrywali suche gałęzie, drudzy rzucali po garści owsa do worków chudym koniom. Ogień błysnął, — śnieg od ciepła płomieni dużemi plamami tajał i znikał w ziemi piaszczystej. Kociołki napelniono wodą z nadbrzeżnego strumyka, kłęby pary łączyły się z dymem błakającym się wśród drzew. Do wrzącej wody wsypano kawy, dolano koniaku — orzeźwiający rozszedł się zapach; — żołnierze w kotły ciekawie patrzyli. Rozdano porcyę, pili je z chciwością, w milczeniu. Suchary zastąpiły grzanki. Oficerowie mieli cukier i tym się dzielili ze starym sierżantem. On tylko jeden został z tych, których nazywają matkami szwadronów. Kochany przez żołnierzy, pieszczoney przez starszyznę — patrzył oczyma serca na świat i ludzi, — siwemi oczyma świecącemi z pod krzaczastych brwi — zmarszczonego czoła i rozeczochranych siwych wąsów. Kłął, bo któryż sierżant nie klnie — kochając konie jak dzieci, a żołnierzy jak konie.

Kawa z koniakiem rano dobra jest dla

przemarzniętego ciała, omdlałych nerwów i rozstrojonej widmem śmierci duszy. I dlatego po śniadaniu zapanował w garstce tych dzielnych ludzi humor, jaki zwykle nawiedza żołnierzy, gdy są wyspani i niegłodni. Śmiano się i dowcipkowano przyciągając popręgi — kładąc koniom wędzidła.

Dowódca wyprawy, osiwiwały w bojach żołnierz, rozmawiał na boku przyciszonym głosem z wachmistrzem. Rezultatem narady było, że stary sformował jako tako wśród drzew front i zakomenderował baczność. Żołnierze stanęli przy koniach. Konie czekały cierpliwie na dalsze rozkazy.

— Piewszy pluton na koń!

Szeregi się rozstały, żołnierze opierając się na lancach dosiedli koni w milczeniu.

— Dowódca plutonu!

Na ten rozkaz zbliżył się na szpakowatym arabie młody człowiek blady, z zapadniętymi policzkami.

— Pierwszy pluton idzie w awangardzie. Dotrzeć do miasteczka i zająć go.

— Dobrze mój pułkowniku—odpowiedział młody porucznik salutując pałaszem.

— Jeżeli już zajęte, cofnąć się ku nam w porządku.

— Dobrze mój pułkowniku.

— Posuwać się drożyną, którą widzicie, a ognia—gdy spostrzeżecie nieprzyjaciela.

— Dobrze mój pułkowniku—powtórzył młody człowiek, zasalutował, skłonił się kolegom i stanął przed frontem.

— Dwójkami od prawego naprzód marsz—zakomenderował.

Pierwszą dwójkę złożyli porucznik z pierwszym podoficerem, za nimi jechali parami ułani w czterdzieści koni. Żołnierze zwracali się do kolegów ze smutnym uśmiechem—ci ich żegnali wesoło.

Droga wśród falujących się wzgórz była prawie zasypana, konie szły wolno brnąc w stężalym śniegu. Jak okiem sięgnąć nikogo na białej pustyni. Zdawało się, że ziemia i ludzie dookoła wymarli.

Ciemne, czołgające się po wzgórzach chmury zasłaniały widnokrąg i wieże miasteczka. Czterdzieści koni przetorowało zaspę ciężko pracując — para wznosiła się w górę — zmęczone zwierzęta sapaly — ludzie milczeli wyteżając wzrok.

Oddział stanął na wzgórzu.

— Żeby choć jedna zabłąkana, żywa dusza—odezwał się młody dowódca, podniósł się na strzemionach i wyciągnął szyję.

— Zato wrony ciągną, czując nowy żer—odparł podoficer.

Żołnierze podnieśli głowy w górę — stado czarnych ptaków nisko, prawie nad ich głowami, przelatywało. Słyszeć tylko było szelest ciężkich ich skrzydeł, bijących o fale powietrza.

— Będzie coś, — szepnął podoficer, wąsy pociągnął w górę, poprawił się na siodle i bezwiednie oparł rękę o rewolwer.

Cały pluton mimowolnie obejrzał się. Szwadrony zwolna nadciągały przetorowaną drogą.

Konie awangardy chwilę na wzgórzu spoczęły — szpica poszła naprzód — a za nią posunął się pluton z młodym dowódcą na czele.

Niepewność denerwuje, dręczy i usta zamyka. Milczał młody oficer, milczeli żołnierze. Ciemne jego oczy patrzyły nieruchomie w szary koloryt dzikiego krajobrazu. Takim wzrokiem zwykle goni się ducha swych marzeń, — taki wzrok przebija stumilową przestrzeń. Towarzysz młodego oficera, starszy od niego wiekiem, choć młodszy rangą, wpatrywał się w jego bladą i chudą twarz z uczuciem sympatii i podziwu.

— Ej co tam, poruczniku, co ma być, to będzie — przerwał milczenie.

Uśmiechnął się smutno młody człowiek, a że był sceptykiem odpowiedział: — Nicość. — A że oprócz sceptycyzmu romantyczną miał duszę, dodał: — My przelewamy krew, a czy przez to ludzie będą lepsi, lub świat inny?

— Co nam do ludzi i świata, my niemców bijemy i basta—zawołał podoficer.

— Czyli raczej niemcy nas.

— Nie zawsze,—a ta filozofia czy tak, czy siak, nic dobrego nie robi, tylko świdruje na próżno człowiekowi mózg. My bijemy, co wlezie, bo jak dobrze wybijemy, to musi być lepiej. Trzeba świat oczyścić z tego paskudnego plemienia, to nasza rzecz, a porucznikowi zaraz po głowie chodzą jakieś ciekawości: co będzie po nas, czy lepiej, czy gorzej. Niemców mniej, to lepiej, niemców więcej, to gorzej. Co tu filozofować i głowę sobie na próżno zawracać; zamiast sobie, tobym już wołał ładnej dziewczynie.

Porucznik się uśmiechnął.

— A przecież i ty filozofujesz.

— Ba, ja to co innego, ja bo filozofuję przeciw tej przekłętą filozofii.

Młody człowiek serdecznie się rozśmiał. Wiatr przeciągnął z zachodu, głucho jęcząc w górze, wrony zakraczały, szpica na wzgórkę raptownie zatrzymała się, podoficer szybko wy dobył z zanadrza manierkę.

— Poruczniku do mnie, szpica stanęła i patrzy nieruchomie, zagrzejmy się zanim w ogień wleziemy.

Porucznik pochwycił manierkę, pociągnął parę łyków i oddał ją towarzyszowi. Żołnierze poszli za dobrym przykładem. W milczeniu od-

korkowano manierki i pito. Szpica gwałtownie zawróciła, siląc się szybko przybiedz do oddziału.

Konie plutonu same, jakby na komendę, raptownie stanęły.

— Mamy się cofać nie widząc nieprzyjaciela? Jakiż raport zdamy — przemówił porucznik.—Naprzód!—zakomenderował.

Opozycją koni zwalczono ostrogami! Oddział ruszył truchtem, wiatr jęczał trzepocząc chorągiewkami lanc, konie stulały uszy, a żołnierzom były serca, choć na zziębniętych twarzach prócz czerwonych i sinych plam, prócz błysku oczu i szronem pokrytych wąsów, nie widać nic było.

Szpica nadbiegła.

— Niemcy!

— Daleko?

— Ledwo dojrzeć.

— Dużo ich?

— Niepodobna zliczyć.

— Jaka broń?

— Kawalerya.

— Podoficer drugi na czoło. Posuwać się zwolna!

Porucznik spał konia ostrogami, skinął na towarzysza. Konie skoczyły, torując sobie kopytami drogę. Wydobyli się na wzgórze. Od zachodu dwa pełne szwadrony dragonów przyspieszonym krokiem posuwały się.

Wieże miasteczka czerniały z poza opadającej mgły. Z przeciwnej strony, od wschodniej bramy, zamajaczało kilkanaście punkcików, które się żywo zbliżały. Młody człowiek dobył wojсковą lornetę i patrzył. Czarne, zwiększające się punkty zmieniły się na wozy, zaprzężone w cztery konie. Na wozach siedziała piechota.

— Oblawa! zawołał. Dlatego kawalerya idzie tak śmiało na nas, że piechota usiłuje nam przeciąć odwrót. Ha! niemcy!

— Wyszpiegowano i zdradzono nas—szepnął podoficer.

— Czy strzały nasze usłyszą szwadrony?

— Nie usłyszą poruczniku. Wiatr je odwróci i zanieśie niemcom.

— Wracajmy!

Konie zrozumiały niebezpieczeństwo, zwróciły się same szybko.

— Milczeć—szepnął porucznik.

Podoficer skinął głową na znak, że usłyszał i zrozumiał rozkaz.

— Prawe ramię naprzód, marsz! — zakomenderował młody człowiek, przybiegłszy do plutonu.

W milczeniu i z nietajoną radością wykonano komendę odwrotu.

Naprzeciw wracających wyjechał pułkownik z oficerami.

— Dwa szwadrony dragonów idą z prawej

strony na nas. Z lewej po bitej drodze piechota na wozach posuwa się szybko, aby nam przeciąć odwrót.

— Spotka się z naszą piechotą — odparł pułkownik. — Zawsze jednak trzeba się mieć na baczności. Odwrót z godnością, dopóki nie zobaczymy naszej piechoty, a wtedy rzucimy się na dragonów i rozbijemy ich.

Decyzję pułkownika przyjęto w milczeniu. Nie śmiano wobec starca dyskutować, zresztą nie było o czem: rygor wojskowy staje się drugą naturą.

Porządkiem rzeczy pluton awangardy zamienił się na aryergardę, dodano mu drugi pluton uzbrojony w karabinki. Młody porucznik objął dowództwo.

Cofano się do lasku, w którym przepędzono noc, z kądem dobrze już można było dostrzedz piętnaście wozów pędzących z kompanią piechoty.

Za nimi zdaleka posuwała się długa, wązka, czarna masa, wijąc się wśród drogi. Zaświeciło słońce, błysnęły bagnety, słońce zgasło, czarna masa, drgająca życiem wszystkich swych muskułów, szła naprzód.

— Przednia straż korpusu, szepnął pułkownik, który został przy plutonie.

— Żeby tak sześć dział pułkownikowi, utrzymalibyśmy się na tem stanowisku do nocy.

— Lecz ponieważ nie mamy ani jednego, starcie nastąpi w południe.

— Jeżeli przedtem miniemy karczmę i młyn, nie nam nie zrobią.

Pułkownik spojrzął na pędzące wozy, zmierzył oczyma odległość do młyna i karczmy, uśmiechnął się i rzekł:

— Prawda, sąd masz wytrawny i rzut oka pewny. Spróbujmy.

Młodemu człowiekowi oczy zaświeciły radością i dumą.

— Inaczej pogrzebią nas w śniegu, lub wezmą żywcem—dodał.

— Nie chciałem tego mówić, lecz tak się stanie, gdy piechota nasza nie nadciągnie.

— Boję się, czy nadciągnie pułkownika.

— Będziemy się bronić sami, żywcem nas nie wezmą.

— Nie wezmą—szepnął młody człowiek.

Dragoni widocznie usiłowali na odległość strzałów obejść lasek, i szybkim marszem dostać się do młyna i karczmy. Młyn i karczma stały się kluczem i celem usiłowań. Kto je pierwszej posiadzie, ten będzie panem pozycyi.

Między karczmą i młynem grobla oddzielała dwa szerokie stawy, za groblą droga do lasu, a las gęsty i duży.

Oficerowie i żołnierze odgadli tajemnicę, konie zrozumiały w czem polega ich ratunek;

same bez ostróg szły szparko a ostrożnie. Drażliwsze z nich drżały na całej skórze, silniejsze i odważniejsze strzygły uszami. Marszerowano w milczeniu.

— Ten śnieg, ten ciężki, wilgotny śnieg, jest jedynym moim nieprzyjacielem. Gdyby nie on, skoczyłbym na dragonów i dwoma plutonami rozbił ich. Wiedzianoby o tem w głównej kwaterze, ogłoszonoby w dziennikach, czytałaby matka. Gdy tymczasem ten przeklęty śnieg, może nas wszystkich powalić i zdusić. Gdyby był choć dziś w nocy nie padał, mógłbym być kiedyś generałem, może wodzem. Jedyna sposobność stracona i zginę marnie!— W chwili prawdziwego niebezpieczeństwa nie marzył o nicości, lecz jak zwykle o uciekającym szczęściu i o możliwości ratunku.— Napróżno matka wyglądać mnie będzie; matko — zawołał. — Traf, nie tylko traf, życie, sława jednostki a może i wielkości narodu.

Szwadrony marszerowały truchtem, oglądając się w lewo i prawo. Żołnierz może być odważny jak lew, gdy ma nieprzyjaciela przed frontem, gdy ten śmiało w oczy mu patrzy, lecz gdy go osaczają ze wszystkich stron, myśli jakby się tylko z matni wydobyć. Aryergarda, bojąc się aby nie była odcięta, nie dalej jak o czterysta kroków postępowała w porządku za swym korpusem. Konie się rwały naprzód, że je trudno było utrzymać.

Piechota z prawej, dragoni z lewej, a nasze szwadrony w pośrodku zbliżały się do młyna i murowanej karczmy. Aryergarda nasza mogła się spotkać z piechotą, aryergarda musiała się zetrzeć z dragonami.

Jeszcze pół godziny, jeszcze parę tysięcy kroków a starcie nieuchronne. Konie niemieckie, zaprzężone do wozów, zmęczone, a może ze strachu zwolniły biegu. Dragoni szukali dla siebie dogodnej drogi.

Nareszcie oddział nasz wydobył się na południową płaszczyznę; śniegu mało, można wyraźnie rozeznaczyć zagłębienia i nierówności ziemi. Konie radośnie parskają, kajdany spadły im z nóg. Żołnierze, widząc możliwy ratunek, nabrali otuchy i wiary w siebie.

— Spędzić Niemców z wozów! — dostał krótki a stanowczy rozkaz rotmistrz pierwszego szwadronu.

Dwa plutony ruszyły kłusem naprzód.

— Aryergarda niechaj się stara wstrzymać dragonów i cofa się powoli za młyn i karczmę, — przywiózł rozkaz adjutant porucznikowi.

Młodzieniec się uśmiechnął, odsalutował pałaszem i szepnął do podoficera.

— Dziś, lub nigdy.

— Tak, poruczniku, tylko ostrożnie.

— Sformować półplutonową kolumnę i śmiało kłusem—marsz!

Konie i, ludzie uczuli twardy grunt pod nogami i, nie pytając o resztę, szli w milczeniu, na śmierć czy zwycięstwo, nie roztrąsano.

Na froncie Niemcy zaczęli z wozów, jak z ruchomych fortec, strzelać do naszej awangardy, której pierwszy pluton prowadził stary wachmistrz. Niemieckie strzały nie były szkodliwe, plutony nasze zbliżały się do nich w porządku.

Drugi szereg plutonu uzbrojony w karabinki, zsiadał z koni.

— Strzelać do koni u wozów— rozległ się rozkaz.

Dwadzieścia strzałów głucho odbiło się od wzgórza, odpowiedział im las, dwa konie z pierwszego wozu padły.

Korpus nasz złożony już tylko z jednego szwadronu szybko się zbliżał do murowanej karczmy i młyna.

Niemcy wyskoczyli z wozów, bój się zaczął, trzech kawalerzystów zachwiało się na koniach, odesłano ich do głównej siły. Żołnierze nasi uzbrojeni w karabinki, zsiadli z koni i rozrzućeni w tyraliery, śmiało stawili czoło piechocie niemieckiej.

Stary wachmistrz z półplutonem doboszował na bitą drogę w czwartej kolumnie.

Zabiegi te nie wstrzymały Niemców. Część swego oddziału rozrzućili również w tyraliery, a sami posuwali się szybko.

Pułkownik nasz, prowadząc pozostały szwadron, patrzył przez lornetę.

— Pieszo mogą nas niemcy dogonić, ale nie odciąć—zdecydował.

W szwadronie porządek był wzorowy. Choć konie rwały się do ucieczki, trzymały je silne dłonie starych żołnierzy.

— Co robi aryergarda — pytał wódz szwadronisty.

— Zasłania nas wzgórze, za parę chwil zobaczymy ich.

Długich chwil parę minęło i zobaczyliśmy ich. Za nasypem niskiego wału leżało na śniegu dwudziestu naszych żołnierzy. Pierwszy pluton dragonów w awangardzie szedł naprzód, torując drogę. Żołnierze strzelali do garstki cofających się naszych ułanów, nie zsiadając z koni. Znane są strzały kawalerzystów siedzących na koniach.

— Zasadzka—szepnął pułkownik, patrząc przez lunetę.

W tej chwili rozległo się dwadzieścia strzałów, kilku dragonów zachwiało się i spadło z koni. Jednocześnie z poza zagłębienia ziemi wyskoczył pluton ułanów z młodym dowódcą na czele. Dragoni przerażeni zasadzką i szarżą zmieszali się, złamali szyki i uciekli. Nasi gonili ich z zaciętością. Pół szwadronu dragonów, będą-

cych w odwodzie, zeskoczyło z koni, prażąc ogniem naszych zuchów.

— Wybornie! wysmienicie!—wołał pułkownik.

Żołnierze z uśmiechem radości patrzali na męstwo swych kolegów. Szmer uwielbienia zmienił się w głośne wykrzykniki. Stary dowódca rad był wesołości i wykrzyknikom żołnierzy. Dobrze to wróżyło o ich odwadze, a pewno i o szlachetnej zazdrości.

Ułani ze swym porucznikiem, w przeczuciu, że na nich patrzy szwadron cały, pędzili przed sobą uciekających.

Wtem dwa plutony dragonów na lewej ich flance sformowały się do ataku i poszły kłusem naprzód.

Flanki są zabójcze, gdy z frontu idą gęste strzały.

— Zgubieni!—zawołał pułkownik.

Żołnierze mimowoli stanęli patrząc ciekawie.

Młody oficer spostrzegł gotujący się atak i zakomenderował odwrót. Garstka żołnierzy cofała się w porządku.

— Uratowani—szepnął pułkownik.

— Uratowani — zawołali żołnierze i szwadron poszedł dalej kłusem, patrząc trwożliwie na zapasy swych kolegów z piechotą niemiecką. Patrzyć a nie walczyć i widzieć nieuchronnie

zbliżającą się katastrofę, na to trzeba mieć nerwy z drutu, lub nerwy starych żołnierzy.

Aryergarda spełniła swą powinność, zmusiła dragonów do respektu dla siebie i nauczyła ich ostrożności, a ta pochłania czas. Czas tu jeden decydował, o czas walczone. Dla zdobycia trzydziestu minut czasu umierano.

Po zwyciężkim ataku ułani ze swym porucznikiem, zasłaniając jedyny szwadron swego korpusu, wracali. Kule dragonów świszcząc przelatywały im ponad głowami, lecz nie wiele sobie robili żołnierze z kul dragońskich i ich świstu.

Młody oficer blady, smutny, z zacisniętymi ustami jechał ostatni za swym oddziałem, przy nim podoficer. Porucznik nie filozofował nigdy, w tej chwili był rozdrażniony, wściekły z oburzenia i gniewu. Zwycięstwo wydarto mu z rąk, stracił czterech ludzi, konie zmęczył i nie zrobił nic głośnego, coby wywołało poklask i budziło podziw. Nie wiedział, że wywalczył aż piętnaście minut czasu. Rzuciłby się sam na cały szwadron dragonów niemieckich, sam, gdyby dużo ludzi patrzyło, posyłając za nim oklaski. Gładyatorska namiętność porywała go. Czuł w sobie siły i zdolności na wielkość; pragnienia miał gorące i ambicję potężną, jak zwykle młody na koniu z pałaszem w ręku, na czele ludzi gotowych na każde jego skinienie. Brakło mu tylko sposobności.

Część dragonów dosiadła powtórnie koni. Siły ich rozdzieliły się na dwie części. Jedna postępowała śladami naszych plutonów, druga starała się ubiedz ich z boku i odciąć od głównej siły. O tej drugiej części również myślał młody oficer i dlatego umyślnie maszerował wolno, jakby ją zachęcał do urzeczywistnienia zamiaru.

— Konie nasze wytrzymają jeszcze jedną szarżę—spytał podoficera.

— Wytrzymają — odparł podoficer—gdyby nie ci—wskazał na szwadron niemców postępujących za nimi.

— Nie nadbiegną—odparł porucznik.

— Nadbiegną poruczniku — zdecydował podoficer.

Porucznik zacisnął zębami wargę.

— Wyprzedzą nas przed karczmą?—zapytał pokazując tych drugich.

— Spieszmy się poruczniku—odparł podoficer.

Nie było punktu wyjścia.

— A więc uciekajmy jak nędznicy i tchórze - zawołał młody człowiek. Plutonom nie trzeba było powtarzać rozkazu. Żołnierz idzie śmiało naprzód wtedy tylko, gdy czuje zwycięstwo. W tym czasie w awangardzie walczoneo nie na żarty. Wysadzono wprawdzie niemców z wozów, lecz nie można było wstrzymać ich w marszu.

Zadnego podwyższenia, żadnej zasłony. Południowa płaszczyzna okryta śniegiem, staczająca się ku zachodowi. Można było widzieć i odgadnąć każdy ruch. Niemcy posuwali się zawzięcie, o ile im pozwalał spadły śnieg, sypiąc ogniem odtylcówek.

Dragoni nareszcie dotarli do twardej drogi i wtedy nacierali coraz gwałtowniej. Pierwszy ich szwadron gonił uciekającą naszą aryergardę, drugi galopował, aby zająć drogę między karczmą i młynem.

Wtedy stary wódz sformował jedyny szwadron w plutonową kolumnę i dał rozkaz ataku.

Lance się zniżyły, konie się zwarły, zajęczało z pod ziemi, zaszumiało w powietrzu.

Dragoni niemieccy stanęli, przypuścili szwadron o trzysta kroków, dali ognia i uciekać zaczęli.

— Do karczmy! — rozległ się ostateczny rozkaz pułkownika.

Rotmistrz skoczył naprzód, za nim szwadron, na ostatku stary wódz. Oglądał się, dając znaki pałaszem młodemu porucznikowi, aby spieszył z plutonami. Ludzie i konie roznamiętnili się w pościgu. Strzały zagłuszył tętent galopujących koni. Echa poblizkiego lasku zdwajały odgłos, roznosząc przerażenie.

Piechota parła naszą awangardę, należało

ją ubiedz lub dać się zabić, a co gorsza złożyć broń.

Uciekający szwadron niepowstrzymany, galopował ostatkiem sił, dobiegł do karczmy i wpadł na groblę. Za nim, siedząc mu prawie na karku, dotarł rozpędzony szwadron dragonów. Staął, odwrócił się i poszedł na spotkanie plutonów aryergardy. Piechota dotarła nad brzeg stawu, część jej ostrzeliwała groblę.

— Ha! niemcy—zawołał porucznik.

— Niemcy! — powtórzyli żołnierze. I nie zważając na goniących, ostrogi wpijano w boki koniom. Wściekłość opanowała ludzi i konie.

Starcie gwałtowne jak błyskawica, podobne do uraganu, powaliło odrazu pluton dragonów na ziemię. Ułani poszli dalej. Doganiający ich drugi szwadron niemiecki złączył się z rozbitymi i ziejąc zemstą pędził.

— Stać! na miłość bozką stać!—wołał stary wachmistrz, który ze swymi już był pod karczmą.—Stać, bo się potopimy w stawie, a niemcy wystrzelają nas jak kaczki.

Dowódca awangardy wstrzymał swych żołnierzy, porucznik złączył się z wachmistrzem. Niemcy nie dali im się sformować, wpadli na wałnicę i zaczęła się rzeź pełna przekleństw, groźb, jęku, strzałów i szczęku pałaszy.

Stary wachmistrz z swym oddziałem obiegnął karczmę, rzucając się na tyły dragonów. Cała

masa walczących wtoczyła się na groblę, piechota zaprzestała ognia, patrząc z przerażeniem na walkę spadających do wody ludzi, koni przewracających się na wznak i rannych, konających pod ich ciężarem.

Przelecieli, krzaki ich zasłoniły, oddział piechoty poszedł za nimi; zrobiło się cicho i strasznie. Ciszę przerywały głuche jęki. Braterstwem boleści i konania łączyła ludzi śmierć. Słońce dla oświetlenia krwawego dramatu rzuciło parę snopów czerwonych promieni i gasło powoli.

Dragonów odpędził napowrót za groblę uratowany szwadron ze starym wodzem na czele. Karczmę i młyn opanowała niemiecka piechota w chwili, kiedy w miasteczku zgromadził się korpus.

Noc obejmowała w swe ramiona umarłych i żywych, zwycięzców i zwyciężonych. Dwa szwadrony, straciwszy czterdziestu ludzi, odprowadzone strzałami piechoty, szły dalej przez las, pocieszając się, że Niemców daleko więcej zginęło.

Pułkownik cudowne uratowanie przypisywał dzielności porucznika i zbytecznej ostrożności dragonów

Szukano młodego oficera, napróżno. Nie znaleziono również i podoficera z pierwszego plutonu. Żałowano ich szczerze, serdecznie, lecz krótko. Żołnierz zaledwo ma czas cieszyć się

swem życiem, a często swem jedynem szczęściem wydobyć się ze szponów śmierci.

Rekonesans się udał, szwadrony zrobiły swoje, wiadano, że siły nieprzyjaciela skoncentrowane w miasteczku; mając paru rannych w niewoli, których konie uniosły, dowiedziano się o ruchach całego korpusu. Zapomniano wprawdzie za kawaleryą wyprawić piechotę; zresztą piechota na rekonesanse za ciężka—tem się pocieszano.

Tymczasem niemcy, wzdłuż stawów i rzeki sadowiąc się, wzmacniali zajęte pozycye, które powinny pozostać w naszym ręku.

II.

Księżyc ostrożnie wychylał się z poza chmur, zaglądając ciekawie na pobojuwisko. Niemcy zbierali rannych, naprzód swych, później naszych. Ci, którzy odzyskali przytomność, którzy się podnieść mogli, czołgali się do krzaków, uciekali w las, aby się ratować przed niewolą niemiecką.

W głębi lasu na śniegu leżał z zamkniętymi oczyma porucznik pierwszego plutonu ułanów, krew sączyła mu się z czaszki, czerwieniąc śnieg. Przy nim stał arabczyk. Dwa razy zrywał się, aby popędzić za końmi i dwa razy wracał do swego pana. Dobra natura i rasa zwyciężyły.

Wracał, rżał i oglądał się, przytykał łeb do twarzy rannego i parą swych nozdrzy ogrzewał go. Młody człowiek leżał nieruchomie. Koń czuł, że nie umarł i dlatego stał i czekał, inaczej popełdziłby za towarzyszami. Stojąc niecierpliwił się, parskał i nogą grzebał. Cisza dokoła, żaden głos nie odpowiadał wiernemu towarzyszowi swego pana. Echa tylko powtarzały rżenie konia i cicho wzdychała ziemia od uderzeń jego nogi.

Zaszeleściało w krzakach, koń się obejrzał i zastrzygł uszami. Młoda, wystraszona dziewczyna stanęła, spojrzała i raptownie zwróciła się uciekając, ile jej sił starczyło. Poczciwe zwierzę zarżało żałośnie, księżyc zaświecił z poza chmur, dziewczyna obejrzała się. Uczucie żalu i litości zwyciężyło strach w dziewczynie; stanęła rozglądając się. Towarzystwo konia i rannego człowieka ośmieliło ją,

— A może żyje—szepnęła i powoli, ostrożnie wracała.

Koń ją radośnie przywitał.

Przyklękła, patrząc na zbroczonego krwią żołnierza.

— Oficer—szepnęła i zaczęła skrzepłą, przymarzłą do ziemi krew odejmować, na czoło położyła garść śniegu.

Ranny poruszył ręką, ruch ten przestraszył dziewczynę, serce jej zaczęło bić, lecz gdy oczy otworzyła, uspokoiła się i uśmiechnęła ser-

decznie. Koń parskał i kiwał głową. Odwiązała białą chustkę ze szyi i nią przewiązała głowę, zasłaniając ranę młodzieńca.

— Wody — przemówił ranny.

Niestety, wody nie było, lecz był lód i śnieg. Oberwała parę sopli wiszących na krzakach i te włożyła mu do ust. Ranny je powoli połykał, oczy otworzył i patrzył.

Dziewczyna zarumieniła się od tego spojrzenia, odgarnęła mu spadające włosy na czoło, poprawiła chustkę i spytała:

— Lepiej panu troszkę?

— Lepiej—odpowiedział.—Cóż się stało?

— A nic, niemcy się bili z naszymi i pan ranny zostałeś w lesie.

— A nasi?

— O nasi pewno daleko, nie widziałam ich, wracam od ciotki z za stawów. Naszych nie widziałam, ale widziałam niemców zdaleka. Pewno są w murowanej karczynie i młynie.

Przypomnienie murowanej karczyny i młyna otężyło młodego człowieka, wracając mu pamięć. Wiadomość o bliskości niemców przestraszyła go, chciał się podnieść, lecz nie miał sił i upadł powtórnie.

— Pomożesz mi podnieść się...

— Dla czego nie, pomogę—odpowiedziała dziewczyna.

— I pomożesz się na konia?

— Pomogę, ale pan się nie podźwigniesz, tyle krwi na śniegu.

Młody człowiek na wspomnienie krwi zbladł i przymrużył oczy.

— Do nas jeszcze daleko, dobra godzina, nie zaszedłbyś pan, nie; pobiegnę i tatusia z wozem sprowadzę, a tymczasem pana okryję kocem z pod siodła—szeptiała schylona nad jego głową.

— A wrócisz panienko?—spytał oficer.

— Jak Boga pragnę przy skonaniu, wrócę z ojcem niezadługo. Podniosła się, odpięła na koniu popręg, zdjęła siodło, rozłożyła koc, okrywając nim rannego.

— Zabierz konia i wracaj moje dziecko, wracaj—mówił cicho oficer.—Niemcy blisko!

— Nie wejdą oni do lasu—w nocy—odpowiedziało dziewczę.—Nie zrywaj się pan, ani się ruszaj.

— A trafisz tu?

— Co nie mam trafić, ślady nóg i kopyt konia przy księżycu można zobaczyć. Koń trafi.

Dziewczyna otulała w koc jak mogła i umiała rannego, podłożyła mu pod głowę siodło, czarne jej oczy patrzyły sympatycznie na bladą twarz.

— Nie bój się pan Niemców, ani się martw, a śpij i odpocznij sobie. Ojciec ranę opatrzy i nim się Niemcy ruszą, będziesz u nas.

Młody człowiek nie odpowiedział, patrząc na dziewczynę jak na zjawisko.

— Może cię tu modlitwy mej matki przysłały—dodał.

— Pewno!—zawołała — pewno i bądź pan spokojny i dobrej myśli. Nic ci nie będzie, nie umrzesz, ani się będziesz już więcej bił.

Skinęła mu głowę, raz jeszcze poprawiła koc, ujęła za cugle konia i chciała iść. Koń się oparł, stanął, głowę szarpnął i wyrwał cugle z rąk dziewczyny. Ranny wyciągnął rękę do konia. Poczciwe zwierzę przybliżyło łeb do jego rany.

— No idź, idź, mój jedyny przyjacielu, nie bój się, wrócisz—zobaczymy się.—Mówiąc to głaskał przyjaciela i towarzysza po wygiętej szyi. Dziewczyna powtórnie ujęła cugle. Koń raz jeszcze obejrzał się na swego pana, zarżał i poszedł.

Widocznie dziewczyna i koń poprzyjaźnili się, bo gdy dziewczę stanęło, nasłuchując ze strachem odgłosu własnych kroków, koń kładł poufale łeb na jej ramieniu. Czując żywą istotę tuż przy sobie, nabierała odwagi, głaskała konia i znów biegli, aby się tylko dostać do drogi, którą tak wybornie znała. Wtedy byłaby śmielszą, czułaby, że jest na własnym gruncie i z poza drzew szukałaby światła, patrzącego przez okno chaty jej ojca.

O tem tylko myślała, wspominając od czasu do czasu młodego oficera.

— Pewno śpi—powtórzyła sobie w duchu —okryłam go dobrze, koc gruby, a ma przecie i płaszcz!

Droga się jakoś sama znalazła, znajoma droga, która była dla dziewczyny podwórkiem i ogrodem. Zdwoiła bieg, koń za nią; światelko z okna chaty błysnęło, schowało się i znowu błysnęło, kryjąc się za drzewa.

— Jeszcze się schowa dwa razy—pocieszała siebie i konia—a potem będzie świeciło ciągle do samego dworku.

Jakiś cień przy blasku księżyca przesunął się wśród drzew, dziewczyna usłyszała skrzyp śniegu i cichy trzask gałęzi. Stała, strach tamował jej oddech, podnosząc włosy na głowie. Koń również stanął, patrząc nieruchomie, nozdrzami chrapał, uszami strzygł. Na drogę wyskoczył czarny, duży pies. Poznała go.

— Nero!—zawołała. Psisko skomląc rzuciło się do nóg dziewczęcia, skoczyło jej na ramiona, oblizalo językiem po twarzy i radując się pobiegło w las.

Dziewczyna odgadła.

— Tato—zawołała przyciszonym głosem.

Z poza drzew wychyliła się barczysta, chuda postać leśnika z dubeltówką w ręku.

Dał znak ręką dziewczynie, aby cicho była.

— Co się stało—szepnęła przerażona.

— Niemcy plądrują las. Zkąd masz tego konia?

— Ratujmy go—zawołała.—Przysięgam, że wrócę i zabiorę go. Chodźmy po niego.

— Po kogo?

— Po oficera.

— Owiniętego w koc... z siodłem pod głową?

— Widziałeś go ojczy? Ja go owinęłam.

— Byłaś tam?

— Przed godziną.

— Bóg cię strzegł.

— Niemcy go zabili!—zawołała blednąc.

— Wyratowałem go.

— Wyratowałeś?

— Leży ich teraz dwóch w tem miejscu.

— Zabiłeś!—zawołała,

— Cicho—szepnął leśnik. — Dlaczego wróciłaś od ciotki?

— Co możeby mi jutro niemcy nie dali przejść. Co się stało z oficerem?—pytała przerażona.

— Niemiecki maruder znalazł go, chciał go dobić, aby potem obedrzeć.

— I cóż, i cóż?

— Uspokoilem go.

— Zabity.

— Nie lubię ludzi kaleczyć.

— Dalej, drogi tato, mów dalej, co się stało z oficerem!

— Na mój strzał odpowiedziano strzałami na jakie dwieście kroków. Nabilem, czołgając się cicho z drzewa pod drzewo.

— I co?

— Dwóch niemców biegło pierwszemu na pomoc. Dwa strzały z dubeltówki... zostali.

— Zostali — powtórzyła. — Nie gonią nas więcej?

— Strzałów nie słyszałem, nie wiem, czy gonią. Lecz jutro przyjdą inni, musimy uciekać.

— Widziałeś ojczyce oficera?

— Widziałem, młody chłopiec, nie z niego nie będzie, zostawmy go, jutro go pewno Niemcy zabiorą. My myślimy o sobie.

— Ojczyce, przysięgam i jeżeli nie chcesz, ja sama pójdę po niego.

Leśnik schwycił za ramię dziewczynę.

— A jeżeli Niemcy tam na nas czatują?

— Ty się ich nie boisz, ja pójdę z tobą.

Leśnik się uśmiechnął.

— Dwa strzały i po nas!

— A może jutro te same dwa strzały nas nie miną. Przysięgam!

— Jakże go przywieziemy, nie mam zastrzeżenia, zresztą wóz zdradzić nas może.

— Weźmiesz go na konia, ja ci go podam.

— Ty? oszalałaś, chyba ja ci go podam.



— Dobrze, dobrze!

— Dlaczego nie zostałam u ciotki?

— Nie chciałam, żeby mnie ciotka darmo żywiła i wróciłam. Idźmy.

— Biegnijże, niech Piotrowa zgasi ogień, weź z szuflady ze cztery ładunki, powrózek ze spiżarki i przychodź.

Piotrowa, stojąc przed kominem, gotowała kolację, skracając sobie czas pacierzem.

— Niemcy — zawołała wpadając zdyszana dziewczyna.

— Niemcy, gdzie?

— W lesie.

Piotrowa załamała ręce, dziewczyna pochwyciła z szuflady cztery ładunki.

— Będziecie do nich strzelać?

— Może, jak wypadnie — odpowiedziało dziewczę z dumą.

— A na rany Chrystusa—wymordują nas.

Dziewczyna z komory wyniosła powróż, pochwyciła garnek z wodą, zalała ogień.

— Nie trzeba Niemcom pokazywać drogi— zawołała i wybiegła, zostawiając przerażoną Piotrową w ciemnościach. Żal się jej jednak zrobiło starej kobiety, która ją wyniańczyła, i dlatego podbiegła do okna dodając:

— Nie bójcie się, moja staruszeko, nie nam nie będzie, wrócimy z gościem. Zniknęła w ciemnościach.

— Oto ładunki i powróżek, ogień zalany—
zdała raport ojcu, chwytając z gwałtownością
powietrze.

— Cztery wystarczą do tych dwunastu,
które mam—rzekł z pewnością siebie. Cóż Pio-
trowa?

— Łamie ręce.

— Bo ma czego, trzeba nam jutro ucie-
kać! Ale gdzie?

— Do dziadka — podchwyciła dziewczyna.

— Dwadzieścia mil, a pewno i tam są już
niemcy! Gubisz mnie z tym oficerem. Czemuś
nie została u ciotki?

— Czy to ojciec nie wie, jak ciotka cieka-
wie patrzy na każdy kawałek chleba, który do
ust kładę?

Zamilkli oboje.

— Którędy biegłaś!—spytał.

— Na starą hamernię, innej drogi nie znam.

— Na starą hamernią dwa razy dalej; ha,
to chodźmy na hamernię, aby ślad za sobą
zgubić.

Śnieg zaczął padać a wiatr górą huczeć,
uginając wierzchołki drzew.

— Śnieg, — zawołała dziewczyna — niema
obawy, ślady nasze zasypie.

— Może i zasypie—chodźmy więc prosto—
zawyrokował stary, ujął konia za cugle i skręcił
w prawo.

— Czy uwierzysz, moje dziecko, że jakoś mi się nie chce naszych lasów opuszczać i poniewierać się u obcych ludzi, albo zdejmować czapkę przed Niemcami.

— Bo prawda!—odpowiedziała dziewczyna.

— A tu byłaby i robota—szepnęła.

— Ej ojcie, ojcie, a niechże cię zabiją, to cóż się ze mną sierotą stanie?

— A teraz to sama prowadzisz starego zajrzeć w oczy śmierci.

Dziewczyna nie odpowiedziała, koń stanął i strzygnął uszyna. Lesnik puścił cugle, pochwylił dubeltówkę, skoczył za drzewo, dziewczyna przytuliła się do ojca.

Oswobodzony koń poskoczył naprzód, śledzili go ciekawie ojciec i córka. Przy jednym z drzew o kilkadziesiąt kroków stanął.

— Niema niebezpieczeństwa — rzekł stary, idąc za koniem.

Oparty o drzewo klęczał młody oficer. Dziewczyna go pierwsza zobaczyła.

— Jesteśmy!—zawołała.

— Cóż pan tu robisz?—pytał ciekawie zdziwiony leśnik.

— Bałem się, żeby na strzały Niemcy nie nadbiegli. To pan uratowałeś mi życie — wyciągnął rękę.

— Zrobiło się, co się powinno zrobić —

W podziemiach.

przerwał stary. — Oprócz czterech strzałów później nic więcej.

Leśnik serdecznie się rozśmiał.

— Jakże panu, lepiej troszkę? — spytała dziewczyna.

— Lepiej—odpowiedział — czuję nieco więcej sił w sobie.

Oddech miał gorący, pulsa mu biły. Gorączka owładnęła rannego i dodawała mu sił.

Stary skoczył na konia i zniknął wśród drzew. Została przy rannym dziewczyna.

— Może się pan położy?

— O nie, boję się, jakbym się położył, mógłbym nie wstać.

— Tata przywiezie siodło i koc, pojedziesz pan do nas, mamy bulion i mięsa kawałek się znajdzie.

Młody człowiek nie nie odpowiedział, lecz zato uśmiechnął się; krew przez zawiązaną na głowie chustkę zaczęła się sączyć i ściekać po twarzy.

Dziewczyna nie wspomniała już o krwi, lecz zdjęła powoli chustkę, strzepała ją, wytarła o śnieg i przewiązała nią ranę.

Młody człowiek uśmiechnął się powtórnie, dziewczyna przyjęła uśmiech za podziękowanie i była dumną ze swego pomysłu.

Wrócił leśniczy na osiodłanym koniu, z za-

rzuconemi na ramionach karabinem i dubeltówką, przepasany ładownicą niemiecką.

— Do jutra rana jesteście bezpieczni. Niemcy nie wysuwają się poza groblę.

— Byłeś ojeze na samym brzegu lasu—zawołało dziewczę.

— Dotarłem jak można najbliżej i kiedy mamy czas, możemy powoli zbierać się w podróż.—Zeskoczył z konia.

— Anusiu, będziesz miała odwagę sięść na tego araba—spokojny jak dziecko.

— Będę — odparła stanowczo.

— No to chodźże żywo.

Dziewczyna zbliżyła się do konia, ojciec ją posadził i nauczył trzymać cugle.

— A teraz, panie poruczniku, z wami będzie trudniejsza sprawa. — Ujął w ramiona młodego człowieka i postawił na ziemi.

Młodzieniec zachwiał się, nogi pod nim drżały.

— No, śmiało, śmiało — dodawał odwagi, prowadząc go do konia. Lewa noga w strzemień, a teraz w górę, jeszcze troszkę wyżej. Jesteśmy!

Anusia ujęła rannego za pas od pałasza.

— A nie puszczaj, gdyby się chwiało. Oprzeź pan głowę o ramię dziewczyny.

— Utrzymam ją jeszcze na karku — szepnęła młodzieniec.

— Tem lepiej! — zawołał stary i pochwycił cugle.—Trzymać się, maszerujemy—zakomenderował.

Poszedł żywo naprzód, za nim koń, kiwając radośnie głową. Na koniu ranny i siedmna-stoletnie dziewczę, dumne ze swej roli. Ona go uratowała.

Pochód trwał dość długo. Stary, z obawy przed poszukiwaniami, dotarł do drogi, aby zgubić ślad i po ubitej ścieżce dostał się do chaty. Ranny trzymał się dotąd dobrze, gorączka dawała mu sił.

Neron zaszczekał w chacie, lecz nikt jej nie otwierał. Leśniczy pobiegł do izby, zaświecił lampkę, obejrzał się—pusto.

— Piotrowa!—zawołał, żadnej odpowiedzi. Zajrzał do drugiego pokoju, spojrział na łóżko, brakowało pierzyny i poduszki. Kuferek był otwarty i pusty.

Wybiegł przed chatę.

— Łatwiej nam będzie już zsiąść, kiedyśmy aż tutaj szczęśliwie dotarli. Pochyl się pan ku mnie. Anusiu trzymaj!

Dziewczyna podtrzymała rannego, aż póki się nie zsunął w ramiona leśnika, poczem sama lekko zeskoczyła.

— Prowadź pana oficera do izby, ja zajmę się koniem.

— Rozpalić ogień?—spytała.

— Ha rozpal, kocem i płaszczem zasłoniemy okno.

Oparty na ramieniu dziewczynki, wszedł młody człowiek do izby; położyła go na łóżku. Wpadła do drugiego pokoju z lampą.

— Piotrowa!

— Uciekła—odparł, wchodząc ojciec.—Widocznie babina zlekła się niemców.

— To ja ją przestraszyłam—zawołała dziewczyna.

— Może i lepiej się stało. Zapalaj ogień i gotuj jeść tymczasem.

Anusia pobiegła do komina, ojciec pozawieszał nad oknami koc, płaszcz i wyszedł, aby się przekonać, czy nie przegląda przez szczelinę promień światła. Wróciwszy, wykrajał ośrodkę z chleba, ulepił z niej plaster; ciepła woda była gotowa w kociołku.

— A teraz sprawa z panem oficerem — mówił z uśmiechem.

Wlał ciepłej wody do miski, dziewczyna wyjęła z komody ręcznik, ojciec ranę odwiązał i obmył. Nie była głęboka, lecz długa. Cięcie dragonkie nie zbyt silne, lecz zato pałasz ostry; rana szła od końca brwi prawie przez połowę głowy. Dziewczyna przyświecała, ojciec żartując, obcinał nożyczkami włosy na głowie obok rany, młody oficer milczał, patrząc z wdzięcznością na dobroduszną twarz leśnika, a sympatyczną jego

córki. Staremu, strzelającemu na upatrzonogo do niemców jak do zajęcy, ręka drżała, aby nie urazić i nie sprawić bólu młodzieńcowi.

Rana obmyta, obłożona chlebem, obwiązana czystą chustką, ranny na łóżku. Ojciec z córką zasiedli do kolacyi, zmuszając chorego do wypicia szklanki bulionu. Na stole znalazła się butelka i kawałek zwierzyny na zimno.

— A teraz rada—zawyrokował stary.

— Radź ojciec sam, byle tylko dobrze—przerwała, wskazując oczyma rannego.

Zobaczył i zrozumiał ranny spojrzenie dziewczęcia i pierwszy przemówił.

— Mnie, proszę was, odstawcie dziś lub jutro do miejskiego szpitala.

— Odstawić, a niemcy jutro rozstrzelają cię jako wolnego-strzelca.

Nastała cisza. Anusia nie śmiała się odezwać, ranny czekał wyroku, a stary plany układał.

— Ja z dziewczyną—rzekł poważnie—mógłbym dobić do ojca jej matki i tam przesiedzieć, lecz—spojrzał na oznaki wojskowe na mundurze rannego—pana porucznika musiałbym tu zostawić.

— Ha, to zostawcie—rzekł smutno młody człowiek—tyleście już dla mnie zrobili.

Dziewczyna zbladła i zarumieniła się.

— Przecież mnie niemcy w biały dzień nie zamordują—dokończył.

— A cóżto niemca dzień obchodzi? kiedy

on w dzień i w nocy zawsze niemiec. I jeszcze-
byś mi się porucznik potem śnił i wzywał pom-
sty Bożej na mnie i na dziecko, żem cię porzu-
cił jak psa. Mam ja sposób, ale ciężki.

— Jaki? — pochwyciła dziewczyna.

— Pójdę ztąd, przyjdą niemcy, zrabują
wszystko i nareszcie spalą chatę, i na starość
nie będzie gdzie głowy położyć. Zostaniemy! —
zawołał.

Anusia i młody człowiek spojrzeli wielkie-
mi oczyma na starego.

— Zostaniemy, jeśli chcecie — i odwróci-
wszy się do rannego, mówił dalej. — Mamy tu o
jakie sto kroków tak nazwaną końską stajnię.
Będzie temu z pół wieku, złodzieje koni zrobili
w tem miejscu norę z trzema izbami, w której
chowali po dwadzieścia skradzionych koni. Zło-
dziei niema, lecz nora została.

Pod ziemię, tato, pod ziemię! — zawołała
Anusia. Mamy tam kartofle, kapustę.

— To nie wiele, — przerwał ojciec — a tu
potrzeba drzewa, siana, słomy.

— To i konia, a może i krowę zabierzemy?

— Zostawiałbym je niemcom?

— Zgadza się pan? — Anusia spytała rannego.

— Ja się na wszystko zgadzam — odparł —
byle nie wpaść w szpony niemcom.

— A więc do pracy — rzekł ojciec — trzeba
się zwijać, żeby na świtanu już się przenieść.

Wstał, wyprostował się, zmarszczył brwi, namyślił się chwilkę, nareszcie postanowił.

Anusia całą spiżarnię wpakuje do dużej beczki—wszystko co tylko zobaczysz. Beczkę się zatka wiązką siana, zatoczmy ją. Ja tymczasem słomę i siano włożę na wózek i zaciągnę—będę miał na trzy razy.

— Wybornie! wybornie!—wołała dziewczyna gromadząc sprzęty.

Stary odzyskał dobry humor, wziął dubeltówkę dla bezpieczeństwa i wybiegł z psem.

— A teraz się pan prześpij, jak będzie czas, obudzimy cię—radziła dziewczyna.

Ranny zmrużył oczy, lecz nie mógł zasnąć. Zdawało mu się, że niemcy go gonią, że już są tuż—skradają się do dworku, aby go spalić, leśnika, jego córkę i jego samego wymordować. Dziewczyna tak wolno rzeczy składała; gniewało go to, nareszcie znikła, nie wracał stary, wszystko razem łączyło się w chaos; widział Niemca ściągającego z niego koc, jak się zmierzał przebić go bagnietem, zerwał się, usiadł na łóżku, słuchał... Cicho, — izba oświetlona słabymi płomykami dopalającego się drzewa—w izbie pusto.

Otworzyły się drzwi, ukazał się leśnik, z drugiego pokoju weszła jego córka.

— Zdrzemałeś się pan—mówił wesoło—tem lepiej, tymczasem z córką przenieśliśmy się już do nory. Koń stoi przy żłobie i patrzy ciekawie

na krowę. — Zmęczyłem się mości poruczniku. Stary nalał szklanke wina i wypił ją duszkiem.

— Poruczniku w drogę jedziemy,— zdecydował stary.

— Oprzyj się pan, weź mnie za szyję, mocno, jeszcze mocniej, chodźmy, niedaleko—szczębiało dziewczę, prowadząc rannego.

Wśród gęsto rozrzuconych drzew i krzaków, przy początku nieznacznej wyniosłości, droga raptownie choć niepostrzeżenie spadała na dół, prowadząc do wnętrza nory. Wózek się zatoczył przed samo prawie wejście.

Obszerna, do dwunastu kroków w przecięciu, piaszczysta piwnica, na pięć łokci wysoka, której powalę podtrzymywały korzenie drzew, stanowiła pierwszą izbę schronienia. Na pniu dębowym, umieszczonym w kącie, a przysypanym piaskiem, palił się ogień.

Gdy ranny, prowadzony przez dziewczynę, wszedł, w drugiej izbie zarżał koń, a cichym, przytłumionym bekiem, odpowiedziała mu krowa. Wejście z pierwszej do drugiej izby zastawiono snopami słomy.

Dziewczyna pokazała choremu rozrzucone liście.

— Tymczasem, zanim nie ustawimy łóżka.

Chory usiadł na liściach i położył się szczęśliwy, bo się czuł spokojnym i bezpiecznym. Anusia zaczęła robić porządki.

Stary pochwycił łopatę.

— A teraz do widzenia. Gotuj śniadanie i obiad, bo jak się dzień zrobi, trzeba będzie ogień zagasić.

Wyszedł, a za chwilę słychać było odgłosy zrzuconych odłamów drzewa, a od nich, jak od wieka trumny, odbijał się głuchy łoskot spadającego piasku. Anusia i młody człowiek słuchali głuchego jęku, serca im biły, doznawali uczucia, jak gdyby ich żywych w grobie zasypywano. Koń się wyprostował, i nadstawił uszy.

— Zасыpują nas—odezwał się ranny.

Dziewczę nic nie odpowiedziało.

— Czy zobaczymy jeszcze choć raz za życia słońce?

Anusi łzy zaświeciły w oczach, lecz nic nie odpowiedziała!

Odgłos coraz bardziej przycichał i ustał.

— Którędyż ojciec wróci— spytał młody człowiek.

— Nie wiem, ale pewno ma jakąś skrytkę.

— A jak go niemcy pochwycą, cóż się z nami stanie?

Dziewczę nic nie odpowiedziało; obtarło skrycie oczy łez pełne, zabierając się z gorączkowym pośpiechem do przyrządzenia śniadania. Młynek od kawy w jej rękach warczał i zgrzytał, rozmiądzając ziarna, po chwili zapach kawy rozszedł się po salonie.

Anusia odprowadziła konia i założyła, przejście słomą.

— Panie poruczniku kawa — szepnęła podając filiżankę

— Nie jest tu tak źle panno Anno, jak się z początku zdawało, kiedy się możemy napić gorącej kawy z cukrem i mlekiem. A gdy ojciec wróci, będzie nam weselej.

O wróci niedługo z Neronem.

— Neron, to pewno ten czarny duży pies?

— Mój faworyt—a jaki rozumny! — został pilnować ojca. Tata wróci, dla czegożby nie miał wrócić—niemcy jeszcze daleko, od naszego dworka do grobli blisko półtorej mili. Las duży, ojciec jest leśniczym, miał trzech pomocników, lecz ci poszli do wolnych strzelców. I tata by poszedł, choć ma blisko sześćdziesiąt lat, tylko dla mnie został. Ciotka skąpa, a dziadek bardzo stary. Ciotka i dziadek mają dzieci i nie bardzo bogaci. Tata został i dobrze się stało.

— Dla czegoż dobrze?...

— Dla czego? choćby dlatego, żeśmy wyratowali pana porucznika.

— Lubisz pani ratować nieszczęśliwych?

— Jak tylko mogę. Ja się bawię z panem, a tata kazał gotować obiad, bo jak słońce wejdzie, trzeba ogień zgasić i komin zatkać.

— To jest tu i komin?

W drzewie. Złodzieje wywiercili sobie otwór

w drzewie i ten służył im za komin. Widzi pan porucznik—pali się, a dymu niema. Dlatego tata każe ogień zgasić, bo jakby Niemcy zobaczyli dym, zaczęliby nas szukać. Trzeba się więc spieszyć!

Anusia uszczęśliwiona, że tak prędko oswoiła się z nieznanym, krzątała się żywo, smażąc na patelni trzy zrazy sarnie.

— Która godzina, panie poruczniku?

— Zegarek jest w kieszonce kamizelki, lecz nie mam siły wydobyć go—odpowiedział ranny.

— Jak tylko tata wróci, pójdziesz pan do łóżka—mówiła, wyjmując z kamizelki rannego zegarek.—Już blisko siódma. A o której godzinie wschodzi słońce?

— Nie wiem.

— Dowiemy się, mamy tu i kalendarz. Tacie bez kalendarza byłoby bardzo smutno i dlatego go wzięłam. Patrz pan, słońce wschodzi o siódmej minut trzydzięci, a zatem nie cała godzina do wschodu słońca. Jak tata za godzinę nie wróci, będę bardzo zmartwiona, ale tata wróci.

— Wróci—powtórzył cicho ranny.

Młody człowiek oczy zmrużył, gorąca kawa i ciepło rozmarzyły go. Po wysileniach przychodziła reakcja, a do tego gorączka zaczęła się zwiększać.

Anusia zobaczyła przymknięte powieki

i zamilkła. Nareszcie dziewiąta na zegarku porucznika a ojciec nie wraca, dziewczyna cicho płacze z rozpaczy. Serce jej się ścisnęło, łzy gorącemi kroplami po twarzy ściekają. Przechyliła się ponad pień, na którym zarzyły się węgle i spojrziała w górę przez otwór wypróchniałego dębu. Zdawało jej się, że słyszy jakieś głosy oddalone, wołania, jęki.

— Ojczy!—krzyknęła.—Panie!... Ranny oczy szeroko otworzył. Ojca mordują niemcy, ratuj go!

Młody człowiek zerwał się, zachwiał na nogach i padł na posłanie z liści. Dziewczyna ręce załamała.

— Ojca mordują! nie chcę dłużej sama w tym grobie zostać, nie chcę się kryć! Puście mnie! Ranny leżał nieruchomie.

— Tutaj!—krzyczała—tutaj chodźcie! macie mnie, zabijcie, kiedyście mi ojca zamordowali.

Zaszeleściła słoma odgradzająca wejście do drugiej nory. Zrozpaczona dziewczyna stanęła, strach zatrzymał oddech w jej piersiach, cofała się blada, milcząca, z wyciągniętymi rękami.

Spadł jeden snopek, za nim drugi, trzeci się potoczył, w otworze ukazała się chuda, barczysta postać leśnika,—Neron przypadł do nóg dziewczyny.

— Ojczy!—zawołała.

— Cicho—szepnął stary — cicho, południe

się zbliża, sygnałowe trąbki rozlegają się, niemcy ciągną przez las.

— Słyszałam jakieś wołania, później jęki, myślałam, że cię zabili.

Stary pocałował dziewczynę w czoło i pogłaskał, spojrzął na rannego i uśmiechnął się.

— Poruczniku, odpocznijmy całe dwa dni. Jeszczem się nigdy tyle nie napracowałam. Dziewczyna, kawy!

— I cóżeś tak długo ojczyźnie robił?

— Naprzód trzeba było otwór w ziemię zasypać, liści nanieść i na świeżą je ziemię rozrzuć. Miałem Niemcom zostawić gotowy, ciepły posterunek, abyśmy mieli dzień i noc stróżów na karku? Powyjmowałam w chacie naszej okna, drzwi, wybiłam parę kafli z pieca, powyrywałam cegły z komina. Wszystko to schowałam w stodołę, obstawiając wokoło klockami drzewa. Popodcinałam siekierą słupy, podważyłam je drągami, ściany zsunęły się wewnątrz, a na nie runął dach. To samo zrobiłam ze stajenką. Spojrzałam, okropna ruina—niemcy nie będą tu popasać, a gdy przyjdą, niezawodnie powiedzą:

„Byli tu już nasi i zrobili porządek.“

A teraz komu przejdzie przez głowę, że o sto kroków od tej pustki mieszkają ludzie.

— Pod ziemią!—zawołała uspokojona dziewczyna.

— I mają kawę, koniak i parę butelek wina.

— I konia i krowę, kury i Nerona—dodało dziewczę.

— A zwierzynę w lesie.

— Myślisz ojcie wychodzić?

— Dziecko jesteś, któż wody przyniesie dla zwierząt i dla nas?

— Będziemy wychodzić ale w nocy, prawda, tylko w nocy?

— Zobaczymy.

Ranny odezwał się.

— Dobrze mi tu.

Na policzki wystąpiły mu silne rumieńce. Stary dał znak córce, aby wyszła. Wtedy leśnik posłał swe łóżko, rozebrał młodzieńca, wziął go na ręce, ułożył i przykrył.

— Wilgoć, lecz gdy pomieszkamy parę tygodni, osuszy się, a i my wkrótce przyzwyczaimy się do tego powietrza. Gorączka się wzmaga, to już trudno, musi odbyć swoje, ale jak przysła, tak pójdzie. Zaśnij pan tylko. Jak się wyśpisz, inaczej spoglądać będziesz na świat.

Młody człowiek milcząc, wyciągnął rękę do starego. Milczał, za niego mówiły łzy świecące w oczach.

Stary ze wzruszeniem uściśnął podaną dłoń.

— Wyrzucam sobie i wstyd mi— odezwał się po chwili. — Nie chciałem iść po ciebie po-

ruczniku... I gdyby nie dziewczyna, która przysięgła... Bo też niemcy rozzuchwalili się, ale po nauczce jaką im dałem, nie mieli już ochoty zaglądać do lasu. No, no, przebacz mi, przecie wszystkich ludzi przygarnąć do siebie nie można.

Stary raz jeszcze uścisnął rękę młodego człowieka trzymaną w swej potężnej dłoni, otulił go kołdrą i poszedł do córki.

W trzeciej norze widać było świeżo odkopane wejście. W wielkim spróchniałym pniu był duży otwór, przez który łatwo mógł się przesunąć człowiek.

— Chociaż wokoło pnia są gęste krzaki sosnowe, trzeba jednak otwór napowrót zasypać liśćmi i przycisnąć deską. Mógłby czasem lis oddać wizytę kurom, albo niemiecki pies ludzi zwęszyć.

Anusia ciekawie patrzyła przez otwór. Płatki śniegu spadały jej na twarz, świeże powietrze orzeźwiało ją i rozweselało. Zaledwie parę godzin przebyła w podziemiach, już zapragnęła światła i powietrza.

— Tato, w nocy wyjdziemy razem, radabym popatrzeć choć na gwiazdy, na drzewa i zdaleka na dworek. Jak tam teraz musi być pusto, zimno. Patrz ojcze, znów śnieg duży pada.

— Wybornie, zasypie naszą całonocną ro-

botę, że śladu po niej nie zostanie. No chodź, chodź już, boję się abyś sama nie wychodziła.

Zasypał otwór liśćmi i zastawił go deską, którą podparł z jednej strony drągiem, z drugiej beczką.

Kury po stracie światła osowiały, powskakiwały na drzewo, napuszyły się, zabierając się do snu.

— Kurki moje — biedne kurki i wam tęskno za światem.

— Czułości schowajmy na później, moja panno, a teraz do łóżka. W nocy trzeba wstać, nanieść wody, kartofle piec.

— Tato, ja się tu z łóżkiem przeniosę — szepnęła rumieniąc się dziewczyna.

— Żebyś się przeziębila i zachorowała! Urządźmy ci sypialnię, zobaczysz.

Wrócili do pierwszej izby; ranny spał twar do, ciężko robiąc piersiami.

— Gorączka — szepnął stary.

Dziewczyna patrzyła na chudą, wyrazistą twarz młodego człowieka.

— Tato, on będzie zdrów? — spytała.

— Za tydzień, a teraz wyjmij dwa prześcieradła. Masz igłę i nici?

Anusia przyniosła dwa prześcieradła i razem z ojcem zeszywała je przy lampce. Stary dwa węższe rogi nad łóżkiem córki przymocował do wystających u powały korzeni drzew.

W podziemiach.

Dziewczyna podała poduszkę, chowając się za białą kotarę. Stary legł na liściach, Neron położył się u nóg swego pana.

— Oto twój pokój sypialny. Przynies mi poduszkę i spać.

Dziewczyna wsunęła się pod kołdrę, rozmyślając naprzód o groźbie ojca, potem o strasznych wypadkach, troszkę o swej odwadze, poświęceniu, o oficerze z bladą twarzą, nareszcie co to z tego będzie—i zasnęła.

Rozpoczął się koncert złożony z basowych chrapań leśnika, ciężkiej pracy płuc rannego i ledwo dosłyszalnych westchnień dziewczyny.

III.

Spali głęboko, oddając się rozkoszy ciężko zapracowanego odpoczynku, z zamiarem przedłużenia go na całą dobę. Lecz inaczej zapisaniem było w księdze przeznaczeń.

Głuchy łoskot przebudził ich. Neron zaszkomlał, zaszczekał i zamikł. Zerwał się leśnik, dziewczyna drżącymi rękami szukała zapalki, ranny oczy otworzył.

— Nie świeć—szepnął stary, pochwycił dubeltówkę, którą miał przy sobie, i znikł za ścianą. Za nim pobiegł Neron.

— Panie poruczniku, co się stało?—szepnęła.

— Zdaje mi się, że bomba niemiecka wpadła do nory—odparł młody człowiek.

— Niemcy—a ojciec poszedł do nich!

Anusia zerwała się, na ramiona zarzuciła chustkę i, macając w ciemnościach, dotarła do ściany, natrafiła na przejście, w drugiej przegrodzie zaświeciła zapalkę i pobięła do trzeciej.

Księżyc blado oświecał otwór pnia starego dębu. Przytrzymując ręką bijące serce, przysuwała się wolno po usypanych liściach coraz wyżej—wychyliła głowę. Świeże powietrze oprzytomniło ją. W górze, ponad lasem szalała burza, wyjąc i rycząc.

Wysunęła się dalej, nikogo prócz wiatru, który jęczał, targając konary drzew. Odetchnęła głęboko, chwyciła rękami krawędź dębu, uniosła się, wsunęła nogę w śnieg i nareszcie stanęła na powierzchni ziemi. Obejrzała się bojaźliwie. Dwa wielkie drzewa wyrwał i przewrócił wiatr, leżały jedno na drugim.

— To nie bomby niemieckie — szepnęła i uśmiechnęła się radośnie.

Dopiero po uśmiechu uczuła zimno w nogi, które były bose. Nasłuchiwała chwil kilka, patrząc ciekawie na wszystkie strony. Księżyc kąpał się w lazurach, choć gwiazdy nie świeciły; wiatr je pogasił.

— Niemców niema. Na taką burzę pewno nie lubią zaglądać do lasu—pomysłała.

Zimno szczypało ją w nogi, zwróciła się do otworu, znikając w pniu starego dębu.

— Panie poruczniku — zawołała — to nie bomby niemieckie, to tylko burza szaleje na dworze, a wiatr przewrócił dwa wielkie drzewa na naszą norę. Może to i dobrze.

Zapaliła lampkę.

— Patrz pan, ziemia się oberwała, a myśmy myśleli, że bomba spadła. Dopiero tu będzie pracy wynieść tyle ziemi. Ale cóżbyśmy robili, prawda? Ojciec z Neronem zniknęli w lesie, lecz się teraz już nie boję, Niemców niema.

To mówiąc ubrała się za kotarą, postawiła na stole lampkę.

— Do widzenia, panie poruczniku, zaśnij pan. Nie będzie się panu przykrzeć.

Porucznik patrzył, milczał i spokojnie oddychał.

Dziewczyny już nie było gdy chciał odpowiedzieć; brnęła ona wtedy po śniegowych zaspach, aby zobaczyć swoją siedzibę.

— Okropny widok — śnieg zasypał okna dworku i ułożył się w izdebkach. Obórka i stajnia przedstawiały dwa śniegowe wzgórza. Ze wschodniej strony widać tylko było kilka nagich belek.

Strzał daleki ale wyraźny, niesiony na fałach wiatru, rozgłaszany przez echa, rozległ się... za nim drugi...

Anusia drgnęła, lecz się nie ruszyła, patrząc wyteżonym wzrokiem. I znowu nic nie było słychać, tylko jęk wiatru i szum gałęzi.

Stała parę chwil i nareszcie poszła śmiało naprzód. Była odważna jak córka leśnika, i zabobonna jak mieszkanka lasów i gór.

Gorączkowo szła naprzód.

— Ojciec pewno jest tam—powtarzała.

Wiatr szamotał wierzchołki drzew, targając gałęzie, księżyc jaskrawo świecił, białym całunem okryta ziemia, w około jęki i wycia. Stanęła, zdawało się jej, że ją ktoś woła.

Skomłenie psa było wyraźniejsze. Rzuciła się w stronę przyzywającego ją głosu.

— Tutaj, tu!

Zawróciła.

Leśnik, trzymając na smyczy Nerona, stał za wielkim dębem, mając przez ramię przewieszoną sarnę. Sapał, pot chustką obcierał. Rogacz był ciężki, droga kopna, a stary spracowany.

— Toś ty ojciec strzelał do sarny, a ja myślałam...

— Ale widziałem Niemców, jednego po drugim aż trzech.

— I cóż?

Czegoś tu przyszła? A to skaranie Boskie z dziewczyną.

I cóż się stało z Niemcami?—przerwała.

— A nic; nie mogłem strzelać do ludzi,

którzy mi nic złego nie zrobili. Co innego tamci, tamci obdzierali i zabiliby oficera.

Zmęczony leśnik rzucił rogacza, siadając na pniu.

— I poszli sobie?—pytała dziewczyna.

— Uciekli! Jeden spał, pewno chory; gdym strzelił do rogacza, zerwał się i uciekał, ale nie uleciał więcej jak sto kroków i upadł. Zwyczajnie marudery ciągną za wojskiem.

— Wojsko przeszło już.

— Droga skopana, pewno cały korpus przechodził.

— A więc czegóż się bać maruderów, co uciekają?

— I bardzo, jakby cię który zobaczył, strzeliłby z samego strachu. Źle się stało, żem się pośpieszył i wybiegł z nory zawczasie. Lecz nie było co jeść.

— Albo co?

— Maruderzy zdadzą raport, że do nich strzelano w lesie na tyłach korpusu. No i pewno zarządzą oblawę.

— To chodźmy już ojcie, oficer czeka.

— Może ty myślisz, że tęskni za tobą?

— Ej, ja tam nic nie myślę, on tęskni za kawą, ogniem i może za ludzką twarzą.

— Twoją, co?

— Pewno za ojca, bo ojciec ma mu więcej do powiedzenia i ojciec opatruje mu ranę.

— A tobie się podobał?

— Alboż to miałam czas myśleć o tem.

— I dobrze robisz. To jakiś panek, koszulę ma cienką jak pajęczyna, zegarek z podwójnemi kopertami i dosyć złota w woreczku, a rękę, jak u hrabianki, białą i delikatną. Wylize się u nas, powie Bóg zapłać, i już go więcej oczy nasze nie zobaczą. I warto to głowę nim sobie zawracać?

Anusia nie nie odpowiedziała.

— No, warto?—odpowiadaj!

— Ej, bo ojciec zaraz rachuje: warto, czy nie warto? Zaledwie doba jak go znam.

— A nareszcie porzuciłabyś starego ojca i lasy, w których się wychowałaś, i góry nasze?

— A boby to ojciec nie poszedł?

— Ja dla Niemców nie chciałem lasu porzucić, a ta mi każe po świecie za sobą latać.

Zajęci rozmową nie słyszeli i nie widzieli jak Neron się rwał. Nareszcie psisko, pomimo zakazu, zaszczekało. Obejrzeli się. Nie dalej jak o trzydzieści kroków od nich stał piechur niemiecki.

Stary jednym rzutem ręki wpakował dziewczynę za drzewo, sam za nią skoczył i odwiódł kurki dubeltówki.

Niemiec machał ręką, nareszcie na bagnet nasadził kask i śmiało zbliżał się do leśnika,

córki i Nerona, który patrzył w oczy swego pana, czekając rozkazu.

— Ej, to jakieś zbiedzone niemczysko—szepnął leśnik do córki.

Istotnie niemczysko było zbiedzone, blade i sine, a zdaje się głodne, bo pokazywało ręką, że chce pić, a zębami, że chce jeść.

Stary nauczony doświadczeniem, że niemcowi nigdy nie dowierzają, pokazał również na migi, żeby karabin postawił przy drzewie, a sam się przybliżył. Niemiec usłuchał rozkazu, broń oparł o drzewo, wdział kask i z pokorną miną przybliżył się, pokazując ciągle ręką, aby dano pić.

Stary miał przy sobie plecionkę napełnioną koniakiem, podał ją niemcowi. Niemczyna pochwycił ją oburącz i przypiął się do flaszki jak pijawka.

— Ależ niemiecze, nam się nic nie zostanie! Stary wyrwał plecionkę.

— A niechby tam i wszystko wypił—szepnęła dziewczyna.

— Wszystko—zawołał—a my żebyśmy zębami dzwonili?

Niemczyna chuchał i smakował, zarumienił się, oczy nabrały blasku i nareszcie uśmiechnął się.

— Patrzajcie, ledwo że poczuł w sobie du-

cha, już zęby wyszczerza. Smakował ci koniak—
spytał Niemca stary,

Niemiec nic nie rozumiał, lecz kiwał głową,
powtarzając bez ustanku: tak, tak, pokazywał na
migi, że mu się bardzo jeść chce. Stary również
odpowiadał rozkładając ręce, że nic nie ma. Nie-
mieć zobaczył rogowca leżącego na śniegu. Po-
kazał go ręką, wyjął krzesiwko, aby rozpalic
ogień i upiec kawał sarny.

— Możeby i upiec — zrobiła uwagę dziew-
czyna.

— I całą kompanię maruderów sprowadzić
do ognia, aby się najedli i na podziękowanie
pozabijali nas.

— No, to ja skoczę do nory i przyniosę co
do zjedzenia.

— I zdradz miejsce naszego schronienia.
Dlaczegoś nie została u ciotki!

Stary pokazał Niemcowi, że ognia nie roz-
pali. Niemiec zagrzany koniakiem wpadł w gniew
i zaczął grozić, a grożąc krzyczeć.

— A, a Niemcze, jakeś się skrzepił trun-
kiem, to tak sobie poczynasz — mruknął stary,
poskoczył, pochwycił karabin. Niemiec za nim,
leśnik się odwrócił i złożył z dubeltówki. Nie-
mieć stanął.

— Nie zabijaj go—wołała przerażona dziew-
czyna, biegnąc do ojca z roztwartymi rękami.

— Nie nadbiegaj pod lufę!—krzyknął stary.

Anusia skoczyła w bok i przystanąła.

Stary dał znak Neronowi; pies podszedł do Niemca i patrzył mu prosto w oczy czekając rozkazu. Niemiec blady z przerażenia, a siny z zimna stał jak posąg.

Tymczasem leśnik rzucił okiem dokoła, spostrzegł dwa młode dębczaki rosnące przy sobie, wsadził karabin między nie i pociągnął z całych sił ku sobie. Lufa się zgięła, kolba pękła, Niemiec krzyknął. Stary rzucił karabin w śnieg, pogroził Niemcowi, zawołał psa, wrócił do rogowca, zarzucił go na plecy i mając ciągle wroga na oku, poszedł a dziewczyna i Neron za nim.

— Ej, możeby i lepiej temu przybędzie w łeb strzelić? — stary się zawahał i przystanął.

— Nie, nie — prosiła córka, wieszając się u ręki ojca. — Może on ma matkę, siostrę...

— I zadenuncjuje nas. Niemcy wytropią i wyduszą.

— Nie wytropią.

— Czemużes nie została u ciotki!

— Ciągle mi ojciec tę ciotkę wymawia. Jeżeli ojcu zawadzam, to pójdę sobie.

Anusia odwróciła się i zaczęła biedz w przeciwną stronę. Neron za nią. Stary dogonił córkę.

— Nie bądź waryatką — przytrzymał ją za rękę — jeżeliś nie została u ciotki to...

— I znowu ciotka!

— Teraz już zapóźno wracać.

— I jabym ojca samego zostawiła w podziemiach? Umarłabym ze strachu. Jeżeli już tak ma być, to umierajmy razem, a nie zabijaj!

— Ależ to wojna!—zawołał ojciec.

— Kiedy wojna, to mu już ojciec złamał karabin, jest bezbronny.

— Ja chciałbym zmusić do milczenia szpiega.

— Nie wiemy, mój ojczu, czy to szpieg; wiemy, że żołnierz.

— Nie znasz się na tem.

Neron wysunął się naprzód.

— Ostrożnie, Neron coś wietrzy. — Stary rzucił rogacza i rękę położył na kurkach dubeltówki.

— Nie, tato, poczciwe psisko biegnie do naszego dworku—pustkę zobaczyć.

Neron wrócił smutny, kładąc się u nóg swej pani. Leśnik odpoczywał, był zmęczony; rogacz stary więc ciężki, a śnieg głęboki.

Odpoczęli. Stary zarzucił rogacza, pies otrząsł się ze śniegu, dziewczyna zacisnęła chustkę i poszli, obchodząc krzaki, do swych podziemnych pałaców.

Niemiec z połamanym karabinem został sam, przeklinając francuzów, przysięgając im zemstę. Szesnaście godzin nie w ustach nie miał, koniak go ucucił, lecz i apetyt zaostrzył. Ziemieby gryzł, gdyby ją mógł wydobyć z pod śniegu. Nie wiedział w którą iść stronę, a bał się

ić za leśnikiem, bał się dubeltówki. Strzeliłby do starego i zabiłby go z ochotą, aby mu odebrać sarnę, którąby rozrywał zębami... Niemiec szalał z wściekłości, przysięgał wymordować wszystkich francuzów, lecz niestety karabin był połamany a las pusty. Radby spalić cały las, lecz śnieg nie da się podpalić. Rozbrojony, głodny i zmarznięty stał, patrzył i nareszcie poszedł, nie wiedząc gdzie i dokąd idzie.

Księżyc się schował, wiatr wzmagął, niemiec brnął coraz głębiej po śniegu. Przed chwilą pocił się, teraz ziął; powieki ołowiem mu ciążyły. Bronił się, wyęczał wszystkie siły, sen garnął go do siebie. Napróżno rwał się naprzód, krzyczał, sen nieubłagany objął go pieścotliwie, składając na śniegu—ofiare.

IV.

Woda nalana w beczkę, otwór zasypywany liśćmi i założony deską, — na improwizowanym kominie płonął ogień, obok niego z boku kawał sarniny, zawieszony na łańcuszku, wolno się obracał. Ranny rozkoszował się, uśmiechał, zapominając o przyszłości, o matce. Rozkoszował się życiem, terażniejszością, chwilą obecną. Było mu dobrze. Zapomniał o Francyi, Niemcach i wojnie, patrzył na dziewczynę i piekącą się na ogniu

sarnę. Chwytał zapach kawy, zdawało mu się, że ma wielki apetyt; serce rwało się do życia, czuł, że jest uratowany od śmierci, oswobodzony z niewoli—żył i rozkoszował się, bo życie było tylko co osiągniętą zdobyczą.

Stary zaspokoiwszy głód zwierząt, przesunął się przez słomianą ścianę i obejrzał po przegrodzie.

— Przysięgam ci poruczniku, że dwa dni nie wyjdę na świat Boży. Co się wychylę, to zaraz awantury. Niemcy się snują jak zające w lesie, uciekają przed strzałami jak króliki, dziewczyna goni za mną, rogacz cięższy od cielęcia.

Nakryty stół przysunęli do łóżka rannego. Anusia ośmielona, a z temperamentu wesola, opowiadała ostatnie przygody więcej szczegółowo i dowcipnie, nie zapominając o niemcu, któremu się zachciało pieczonej sarniny.

— I kiedyż nareszcie będę zdrow?— spytał gwałtownie a niespodziewanie młody człowiek.

— Za dwa lub trzy tygodnie, gdy rana zacznie podsychać na dobre—odparł leśnik.

— Więc panu z nami tak źle? — szepnęła dziewczyna.

— O nie, wybornie mi tu, lecz nareszcie trzeba pomyśleć o odwecie. Nie wierzę aby Francya, jak długa i szeroka, legła u stóp Niemców!—Za chęcią zemsty wracała ambicya.

— Ho, ho, już widać zdrowie się do porucznika uśmiecha—odezwał się stary.

— Muszą się przecież tworzyć armie na południu, zachodzie i północy. Nasz zabłąkany korpus musi natrafić na jedną z nich.

Leśnik nic nie odpowiedział, córka również milczała.

— Odcięci od świata i ludzi, prawie pogrzebani, nie wiemy, co się dzieje we Francyi.

Stary się zadumał, bo nawet wtedy, gdy nie był prawie pogrzebany, mało co więcej wiedział.

— Musimy nareszcie zasięgnąć języka.

— A niemcy—zawołała dziewczyna.

— Czy to zaraz mamy się pokazywać niemcom?—zrobił uwagę z butną miną stary...

Młody człowiek pochylił głowę na poduszki, uśpione gorączką i niebezpieczeństwem namiętności wracały, a podsycane zemstą i ambicyą, szarpały nerwy, nurtowały w sercu! Wypił szklankę wina, zjadł kawałek mięsa i milczał.

Anusia spoglądała ciekawie na bladą twarz, zaciśnięte usta i daleko patrzące ciemne jego oczy. Nie rozumiała go, choć przeczuwała pracę jego mózgu, niepokój i nieokreślone dla niej pragnienia.

V.

Już trzecią noc od chwili ostatniej wyprawy nie wychylali głowy na świat Boży. Stary bał się troszkę o siebie, więcej o córkę i oficera.

Czuł, choć nie rozmyślał nad tem, że życie młodzieńca oddane jest pod straż jego sumienia, a dziewczynę swą kochał, jak szczerą, otwartą i serdeczną naturą kochać umie.

Na dębowym pniu migotał ogień, a z boku przy ścianie, na usypanych liściach, na legowisku starego, siedział porucznik z obwiązaną głową. Tuż obok niego leśnik rozbierał swą dubeltówkę, dalej trochę klęczała dziewczyna głaszcząc psa.

Młody człowiek mówił długo; ciekawe rzeczy opowiadał, widać to było po zarumienionych policzkach leśnika i płonącym oku dziewczyny.

W chwilach ciężkich i gorących niema czasu ani ochoty na ciekawe historye. Młodzieńiec szerzył idee patryotyzmu, stępione panowaniem drugiego cesarstwa. Mówił o chwale wielkiej rewolucyi, o tryumfach pierwszego cesarstwa, o blasku Francyi, którą dziś prawie bezkarnie najeżdża niemiec, depcze ją, a morduje francuzów. Oni sami, dzieci tego wielkiego narodu, który krwią swoją wywalczył przyszłość ludzkości, już nie znajdują na tej ziemi przytułku i kryć się muszą w podziemiach. Najście niem-

ców odmalował spokojnie, bez efektów, lecz strasznie.

Stary gorączkowo pracował składając dubeltówkę, nareszcie ją złożył, powstał, nasunął czapkę i psa odepchnął.

— Ojcze! zawołała córka.

— Cicho — szepnął stary i zniknął za słomianą przegrodą. W szeptach tym czuć było siłę, rozkaz i groźbę.

Stara krew francuzka zakipiała w starcu. Uśpione nieświadomością namiętności odżyły w sercu. Powstał dumny i groźny francuz z wielkiej rewolucyi, lub francuz z pod Jena. Stracony czas chciał wynagrodzić i w swój sposób uczynić zadość obrażonej dumie narodowej, zapracować na imię godnego syna wielkiej ojczyzny.

Deskę tamującą wejście odrzucił, liście z otworu pnia wygarnął. Stanął, namyślał się chwilę i wrócił.

— Ani mi się waż gonić za mną—zawołał do córki przez otwór.

Anusia zbladła, lecz nie miała odwagi zdobyć się na jeden wyraz. Odgadła kipiącą krew ojca, drżała o niego, lecz milczała. I w jej głowie budziły się dotąd nieznanne myśli, i w jej sercu zaczął płonąć ogień, którego dotąd nie знаła, drżała o ojca, a jednak nie śmiała głośno powiedzieć, że się boi.

Na myśl pozostania w podziemiach sam na

sam z młodym człowiekiem zarumieniała się, pochyliła głowę i spuściła oczy. Milczeli oboje długich chwil kilka, które coraz cięższymi stawały się dla dziewczyny. Pulsa jej biły, twarz płonęła, a nieśmiała spojrzeć na twarz towarzysza swego.

Powoli podniosła głowę. Młody człowiek siedział nieruchomie zapatrzony w ogień, oczy mu świeciły, usta miał zamknięte, wyteżoną myśl: widać to było ze zmarszczonego czoła.

Nie spojrzął nawet na nią, nie przemówił słowa, nie spytał o ojca. Myślał o czymś wielkiem, albo o czymś strasznem, lecz nie o niej,— chociaż mu uratowała życie.

Anusia była oburzona, przysięgła sobie nie przemówić do niego słowa. Podniosła się i wyszła.

Po przystawionej desce zbliżała się do otworu, wychyliła głowę.

Ziemia jęczała, las powtarzał te jęki. Słuchała zdziwiona i przestraszona, ziemia coraz więcej drżała, las zapełniony był dziwnymi westchnieniami. Przeczuwała coś strasznego i dlatego nie miała odwagi wyjść, bała się ojca. Zsunęła się szybko do nory, macając w ciemnościach dotarła do izby.

Oficer siedział nieruchomy.

— Panie!

Młody człowiek nagle przebudzony obejrzał się.

W podziemiach.

— Coś się dzieje na świecie, po lesie rozchodzą się jakieś głosy.

— Chodźmy—powtórzyła — podaj mi pan rękę.— Podał jej rękę, poszli.

Dziewczynie ręka drżała, młodego człowieka była zimna jak lód. Arab zarżał z radości na widok swego pana, Neron skomląc radował się, w trzeciej przegrodzie przebudziły się kury, kogut zapiał.

— Tędy, tędy panie, po tej drodze w górę, widzisz ten duży otwór, ja wyjdę pierwsza i podam ci rękę.

Anusia wybiegła naprzód, pochyliła się nad otworem, wyciągnęła rękę. Młody człowiek wystawił głowę ponad otwór, lecz wyjść nie mógł. Dziewczyna pochwyciła go w ramiona, wyniosła. Słyszeli bicie własnych serc, lecz dalekie, ciężkie odgłosy zagłuszały je.

— Niemcy spotkali się z naszą armią!—zawołał—Działa grzmią. Nasi tak blisko, jutro ich przyjmiemy, jutro nas uwolnią, jutro niemcy tędy uciekać będą, jutro...

— A ojciec?—szepnęła dziewczyna.

— Ojciec wróci. Może się dowie czegoś pewnego. Może już jutro wyjdziemy z podziemi! Niemcy pobici uciekają. Za dwa dni mogą być w Paryżu. — Oddychał całymi pierściami, śmiał się głośno, każdy jęk działa przyspieszał bicie jego serca.

— Uciekniesz pan jutro do Paryża?— spytała dziewczyna.

— Niemcy uciekną, ja dogonię swój pułk, szwadron, i na czele plutonu powrócę w tryumfie.

Strzały się wzmagaly, młodemu człowiekowi zdawało się, że się zbliżaly. Radość wyczerpuje siły, świeże powietrze upaja. Pijany radością i świeżem powietrzem usiadł, dziewczyna stała przed nim smutna i zamyślona.

Zajęty sobą ani nawet pomyślał o niej! Zdrowie, siły i radość dzielnie rozwijają egoizm. Młody człowiek nie myślał o nikim i o niczem tylko o sobie, o swej wolności, sławie, przyszłości.

— Berlin—szeptał—na Berlin!

Odgłos strzałów z ręcznej broni rozległ się po lesie.

— Ojciec—krzyknęła dziewczyna i chciała biedz.

Młody człowiek pochwycił ją—zatrzymał.

— Może do nas strzelają, — słyszałem — świst kul!

— Pod ziemię! szepnął.

— Pod ziemię!—powtórzyła bezwiednie.

Anusia pierwsza wpadła i zniknęła w otwórze, za nią młodzieniec—lampka płonęła w podziemiu.

Strzały powtórzyły się jeszcze bliżej, przebiegając z szumem i łoskotem las.

— Trzeba zatarasować otwór! — zawołał młody człowiek.

— Ojciec!—krzyknęła dziewczyna.

— Ojciec — powtórzył. Zapomniał w tej chwili o ojcu. — A gdy niemcy dopadną do otworu?

— Niech dopadają, ojcu nie zamknę powrotu i nie oddam go na zamordowanie!

— Zatykaj liśćmi otwór!—krzyknął straszonym głosem i sam zaczął liście podnosić, nakładać.

Anusia zgnębiona milczała, oparta o ścianę!

Otwór założony. Młody człowiek pochwycił lampkę, pobiegł z nią i wrócił niosąc w ręku karabin niemiecki, zdobyty przez leśnika, za pasem własny miał rewolwer.

— Będziemy się bronić — zdecydował poważnie — niemcy nie zechcą tracić swych ludzi na zdobycie jednej nory. Umiesz pani nabijać?

— Ojciec!—zawołała Anusia.

— Jeżeli wróci, będzie z nami, otwór nie jest zamurowany.

— Chodźmy go ratować!

— Nie, nie pójdziemy.

Dziewczyna zrobiła rozpaczliwy krok naprzód.

— Stać!—krzyknął nerwowo.

Liście zaszeleściły, ugięły się, — w otwór wpadł leśnik, krew sączyła się z jego boku.

— Ojczy!

— Cicho. Niemcy tuż nad naszymi głowami,—otwór założyć deską. a deskę przymocować beczką i założyć drągiem. Prędko, żywo—ja już nie mam sił.—Potoczył się i zsunął na ziemię.

Córka skoczyła do ojca.

— Nie do mnie—do liści—otwór zapychać, nie mamy czasu na pieszczoty!

Młody człowiek rzucił karabin i zabrał się do pracy, jak ten który wie, że od prędkiego zasypiania liśćmi otworu zależy jego życie.

— Ogień zasypać piaskiem!—wołał leśnik. Księżyc świeci, — dym rozchodzi się po lesie i Niemców przyciągnie.

Zrobiło się ciemno, dziewczyna zaczęła płakać.

— Moje dziecko, w porę wybrałaś się z płaczem. Płacz zmienił się w wybuch rozpacz.

— No, jak starego nie stanie, to w Bogu nadzieja... będziesz miała młodego opiekuna.

— Ja nie chcę żadnego.—zawołała zalewając się łzami.

Wrócił oficer.

— Ogień zasypany, zdał raport.

— Wybornie, doskonale—popróbujcie moje dzieci, czy dobrze deska się trzyma.

Dziewczyna z młodym człowiekiem pochwycili deskę—lecz ani drgnęła.

— Dobrze—a teraz podajcie staremu ręce

i zawlecźcie go na legowisko, aby już raz stare kości położył.

— Cóż to było?—pytał oficer.

— Zaraz, zaraz—mówił wolno leśnik, opierając się o ramię młodzieńca.

— Walczą, — słyszałem huk dział — armia nasza posuwa się, Niemcy uciekają — jutro będziemy wolni.

— Nie tak prędko, Niemcy bombardują stolicę naszego departamentu.

Młody człowiek puścił starego, stary się zachwiał i padł na posłanie z liści.

— Na moje łóżko tato, na moje łóżko. — wołała dziewczyna oburzona na oficera,

— Niemcy bombardują nasze miasta, palą i mordują, a gdzie są Francuzi?... Ranny załamał ręce i upadł zemdłony obok leśnika.

W tej chwili strzały z ręcznej broni wpadły przez otwór dębowego komina.

— Andziu, może znajdziesz parę kropli koniaku, szepnął stary.

Podawała ojcu koniak, stary pociągnął z butelki, kazał dziewczynie podnieść głowę zemdłonego, wlał mu w usta parę kropli. Młody człowiek otworzył oczy.

— Napij się, trzeba się koniecznie otrzeźwić, Niemcy nad naszymi głowami.

— I znowu strzały wpadły w podziemie. Oficer rozkazał.

— Karabin i rewolwer.

— Mamy jeszcze czas — odparł leśnik, poznał że strzały oddalają się. Anusiu pobiegnij do otworu i zobacz, co się tam dzieje.

Anusia zniknęła za przegrodą.

— Uciekając farbowałem drogę krwią, alem się wczas spostrzegł i przepasałem ranę pasem wełnianym. Krew się sączyła, ale już nie spływała. Pewnie niemcy będą tropić śladem farby i złapią się.

Oficer ciężko robił piersiami.

— Tato, przy otworze cicho.

— Wracaj, wracaj moje dziecko.

Anusia stanęła przed posłaniem z liści błada i zmęczona, usta miała spalone.

— A teraz do starego, — zobaczymy jaką mi pamiątkę zostawili niemcy.

Kula prześliznęła się koło biodra i utknęła zaledwo do połowy swej grubości w ciele. Ból był dotkliwy, niebezpieczeństwa żadnego. Ranę opatrzono, stary położył się lecz nie mógł zasnąć.

— W lesie napadli cię ojczyc?

— Cały oddział! — odparł stary z dumą. Porucznik swem opowiadaniem rozpalil mi krew, wybiegłem ją gasić, aby choć na starość zasłużyć na nazwę dobrego syna ojczyzny. Może mi się uda, myślałem, wybawić od śmierci drugiego francuza.

Stary się uśmiechnął.

— Biegłem na oślep. „Halt! wer da“ wbiło mi nogi w ziemię, ani się ruszyć mogłem, ani złapać powietrza, stanąłem za drzewem jak skamieniały. „Halt! wer da“ po raz drugi i odgłos odwiedzionych ośmiu kurków—komenda—padło ośm strzałów. Ośm kul świsnęło mi koło uszu. Skoczyłem za drugie drzewo; niemcy nabili i poszli naprzód, pewni że leżę rozciągnięty jak zając. Uciekałem, zobaczyli—i znów ośm strzałów przeleciało mi nad głową. Odsadziłem się jednak od niemców, kilkaset kroków dzieliło mnie od nich.

— Spróbujmy szczęścia, powiedziałem, zmierzylem się—i niemca zwałem na ziemię. To już czwarty, poruczniku!

— Byłem pewny, że gdy dowódca padnie, niemcy się rozlecą.

— A oni?

— Rozlecieli się, aby mnie otoczyć i na upatrzzonego zapolować. Nabijałem, niemiec mnie dojrzał, zmierzył i zranił. Zmierzyłem się, niemiec padł. To już piąty poruczniku! Stary się uśmiechnął. Raz jeszcze za mną strzelano i wpadłem w gęsty zagajnik. Niemcy stanęli o sto kroków, potem zaczęli szukać ścieżki, aby mi przeciąć drogę; dwa razy dałem ognia, odpowiedziano mi również dwa razy, ale już po sześć strzałów. Nie dbając więcej o niemców przeszedłem zagajnik, przewiązałem ranę i ruszyłem do domu. Szedłem zmęczony myśląc sobie, czy ra-

na moja śmiertelna, czy ostatnie moje cztery strzały były wyrzucone z lufy napróżno, gdy trzeba nieszczęścia, nie dalej jak o sześćset lub ośmset kroków od domu, niemcy znów mnie spostrzegli.

— Słyszeliśmy strzały!—zawołał porucznik.

— Tak—poświadczyła dziewczyna.

— Nie odpowiadałem im, odciągając ich od nory. Przypadłem w krzakach do ziemi i poza wzgórkim skoczyłem do jamy jak lis. Niemcy szukali mnie pewno z wściekłością i dlatego strzelali do naszego dworku; strzały, zdaje mi się, przybiegły do was od wschodu, ale tylko cztery, słyszysz poruczniku, dwa razy strzelali, ale tylko po cztery strzały! Z tamtymi trzema pierwszego dnia to siedm. Teraz już może nie powiesz, żebym był złym synem ojczyzny.

— Jeżeli armia nasza nie nadejdzie, niemcy za dni parę zarządzą oblławę w lesie — zauważył porucznik.

— Na dobrą oblławę i pułk cały nie wystarczy. Oblławę jak oblławę—dodał leśnik ale zato oddziały.

— Ruchome kolumny—poprawił oficer.

— Latające—rzekł stary. Zkąd tu będzie wziąć wody, nie można palić ognia. Ale o tem potem, śpijmy tymczasem. To szczęście, że człek żyje i nie kaleka.

Stary się ułożył na zdrowy bok i zasnął. Anusia i młody człowiek zostali sami.

— Posłać panu?—zapytała.

Nie odebrała żadnej odpowiedzi. Wyjęła czyste prześcieradło z komody, okryła niem rozesłane liście, poprawiła poduszkę i koc, którym się stary przykrywał.

— Trzeba panu przewiązać ranę, prawda?

Porucznik usiadł na posłaniu z liści, Anusia drżącymi rękoma odwiązywała chustkę z jego głowy.

Rana była zaogniona, dziewczyna układała szarpie, młody człowiek, chcąc jej dać dowód swej wdzięczności i przeprosić ją za uniesienie, ujął jej rękę i pocałował. Oddech jej zatrzymał się, serce bić przestało na chwilę, aby potem lecieć galopadą. Nic nie odpowiedziała, była błądą; za chwilę galopujące serce okrasilo jej twarz rumieńcem, oczy zaświeciły blaskiem, lecz przyślonięte zostały powieką.

Nic nie mówili, otaczała ich cisza, przerywana miarowym oddechem ojca.

Rana została opatrzoną i przewiązaną, młodzi nie przemówili do siebie. Dziewczyna wzięła lampkę i nie oglądając się, wsunęła się za białą kotarę.

— Dobranoc — odważyła się powiedzieć, lecz powiedziała cicho i drżącym głosem.

— Dobranoc—odpowiedziano jej.

I znowu nastąpiła cisza przerywana miarowym oddechem starego, głosem biciem serca dziewczyny i ciężkimi westchnieniami młodego człowieka. Widocznie nie mogli zasnąć oboje. Porucznik zerwał się z łoża, dziewczyna uniosła głowę nadsluchując. Napił się wody, zbliżył się do komina, zgarnął piasek z węgla, rozdmuchał je, podłożył szczypkę, zapaliła się. Słaby, złotawy płomyk błysnął. Młody człowiek po cichu, ostrożnie stąpając, zwrócił się do kotary.

Dziewczyna widziała to. Stanęły jej w myśli słowa ojca, które tak często powtarzała w duchu. Wskoczyła z łóżka, wybiegła.

— Nie chodź pan tu — bo gdy się ojciec obudzi, przysięgnął, że temu, kto przejdzie poza tę kotarę, w łeb jak psu wypali. Nie chodź pan, zaklinam cię, proszę—złożyła błagalnie ręce.

— Nie pójdę, moje dziecko—odpowiedział młody i pogłaskał dziewczynę po twarzy, Szedłem wziąć lampkę, a nie chciałem obudzić cię.

Dziewczyna zarumieniła się ze wstydu, żalu i gniewu. Skryła się za kotarę, wysunęła tylko z poza niej rękę i podała młodemu człowiekowi lampkę, którą zapalił.

Innej się spodziewała odpowiedzi. Pogłaskał ją tylko po twarzy jak psa. Dziewczyna była oburzona.

Młody człowiek widocznie jakieś plany układał, bo chodził po podziemiu, rozkładał ręce,

obliczał, zastanawiał się. Lampka zgasła, rzucił się na posłanie, wtedy sen przygasił pragnienie sławy, chęć odwetu, zsyłając na pociechę w młodości widziane obrazy.

VI.

Długo spali po ciężkich przejściach nocy tak długo, aż arab z głodu i tęsknoty rozwalął ścianę słomianą, zbliżył się do swego pana i ciągnąc go lekko za włosy, budził. Młodzieniec otworzył oczy, pogłaskał konia, spojrzął dokoła. Białe światelko padało przez otwór dębu na komin, rozświecając o tyle izbę, że można było dojrzeć śpiącego leśnika na tym samym boku i białą kotarę. Wstał, konia odprowadził do żłobu, zasypał mu i krowie obroku, napoił ich, sam się ubrał, rozpalił szczyпки, rozdmuchał węgle. nastawił wody, zmełł kawę, ugotował i rozlał ją. Wtedy zbliżył się z filiżanką do leśnika.

Stary oczy otworzył i rozśmiał się serdecznie.

— A gdzież Anusia?—spytał.

— Śpi—odpowiedział swobodnie młodzieniec.

— A to śpioch dziewczyna—zawołał leśnik.

— Ja to co innego, ranny, zmęczony i stary.

— Spaliśmy szesnaście godzin—mówił wesoło porucznik—ale też ciężką przebyliśmy noc.

— Podobnej w życiu nie miałem! — zawołał stary.

Słońce zaszło, należało choć troszkę oświecić norę, młody człowiek poszedł po drzewo do trzeciej zagrody, dziewczyna wyszła z za zasłony.

— Chodźno tu—zawołał ojciec. Dziewczyna zaliżyła się do łóżka, ujął jej rękę.

— Co to było dzisiejszej nocy?

— Nie wie to tata?—odezwała się naiwnie.

— Wiem, ale później spałem jak kamień. Mów!—zawołał stary.

Dziewczyna wyrwała rękę z dłoni ojca.

— Spojrzeć na mnie nie chce...

— Chciałabyś, żeby patrzył?

— Wszystko mi jedno, ale Nerona głaszcze i pieści, Neron przecież mu życia nie uratował.

Stary się uspokoił, porucznik wrócił z naręczem drzewa.

— Jak się to dziwnie zmienia; wczoraj ja, dziś porucznik nam usługujesz. Przyszła i na mnie kolej, ale ja w łóżku nie uleżę.

Stary był dumny i rad, że cierpi dla ojczyzny.

— Uleżysz tato, musisz uleżeć. I pocóż miałbyś się zrywać? Sam mówiłeś, że niemcy robić będą obławę.

— Pewno, że mi nie darują wczorajszej potyczki. Gdyby nie śnieg i na nim ślady, śmiał-

bym się głośno; gdyby była woda, anibym wyjrzał przez cały tydzień.

— Wody przyniosę zdecydował porucznik.

— Zmiłujcie się i zaczekajcie na mnie. Młodzi, nierozważni, gotowicie umyślnie wleźć pod lufę Niemca.

Ogień się palił na dębowym pniu, było ciepło i wesoło. Stary leśnik wypił szklanekę wina i odpoczywał jak bohater leżący na laurach. Uśmiechał się dobrotliwie, z pewną jednak dumą.

Wyprawa po wodę zdecydowana. Zapalono lampkę i młody człowiek naprzód, dziewczyna za nim, wyszli, przesuwając się przez ścianę ze słomy.

Stary nie mógł znieść samotności, ubrał się, pochwycił dubeltówkę i cicho poszedł za nimi.

W trzeciej norze paliła się lampka. Deska była już wyjęta, liście rozgarnięte. Oficer trzymając na rękach dziewczynę, podsunął się z nią pod otwór, potem posadził ją na ramieniu. Dziewczyna zniknęła w otworze starego dębu.

— Zielono—szepnęła—śnieg stopniał, tylko gdzieniegdzie świeci białymi plastrami.

Stary nadbiegł.

— Zielono, niema już śniegu. Jesteśmy uratowani! — zawołał. Przystawiono deskę i po

niej naprzód porucznik wydobył się na świat, za nim stary.

Południowy wietrzyk przeciągał, deszcz oplakał i ożywił ziemię. Cicho było w naturze, księżyc płynął po niebieskich szlakach. Przecinały mu drogę białe chmurki, zlatywały się, aby się osrebrzyć jego światłem, zabłysnąć i dalej uciekać.—Cicho było w naturze i cicho w lesie, wiatr zasnął, drzewa milczały, nawet strumień wypełniony po brzegi wodą, ani się skarżył, ani żalił.

Widać losy tak chciały, aby noc dzisiejsza przeszła bez silnych wrażeń. Staremu było przykro, powodzenie go rozzuchwaliło, miał ochotę posunąć się dalej, lecz bał się o córkę, bał się schodzić ze stanowiska i rad nie rad wrócił.

Późno w noc, gdy dziewczyna już spała, porucznik ze starym żywo szeptali. Młody człowiek rysował i pisał, stary wyliczał wszystkie wioski, drogi i dróżki, długość lasu i znajomych swoich, rozrzuconych na przestrzeni paru mil.

Nareszcie projekt stanął. Staremu oczy świeciły, młody oficer z radości zacierał ręce.

VII.

Wielkie projekta uczą nas ostrożności. Leśnik wstrzymywany przez porucznika nie wychodził z poza krzaków, pomimo, że namiętno-

ści jego wzrastały, i on już, dla którego dawniej było wielkością zabicie jastrzębia, dziś pragnął zrobić coś wielkiego dla swej Francyi, marzył o sławie.

— Całą naszą odwagę, siły i przytomność zachowajmy na stanowczą chwilę — powtarzał oficer.

— Może zadługo na nią czekamy.

— Niech tylko rany nasze podgoją się.

— I dlatego rany opatrywano po cztery razy na dobę, a te jakby słuchając rozkazu schły i zmniejszały się.

Anusia, niewtajemniczona w projekta, przypatrywała się ze zdziwieniem ojcu i porucznikowi. Bolało ją, że się przed nią kryją, że szepczą w jej obecności, że się uśmiechają bez niej, że radzą poza nią. Przysięgała zemścić się na młodym człowieku. Nie patrzył na nią, nie zajmował się nią, nie był jej wdzięcznym i odbierał jej serce ojca... Poprzysięgła mu zemstę i dlatego ubierała się jak tylko można było ubrać się najładniej w podziemiu, przewiązując włosy codzien innego koloru wstążeczką. Ani ojciec, ani porucznik, zajęci wielkimi planami, nie widzieli zmieniających się wstążeczek na głowie Anusi, co ją gniewało i oburzało.

Stanowcza chwila nadeszła. Rany w większej połowie podgojone. Dzień cały poświęcono przygotowaniu zapasów żywności i amunicyi.

Dziewczyna patrzyła na te przygotowania, rozumiała je, lecz milczała. Wieczorem, po kolacyi, porucznik w kurtce starego, stary w swej świątecznej kapocie, uzbrojeni, w czapkach na głowie stanęli. Dziewczyna pobiegła za zasłonę, rzuciła na ramiona chustkę, głowę okryła wełnianą chusteczką i stanęła także gotowa do drogi.

— A to gdzie? — zawołał leśnik.

— Z wami, a jeżeli mnie odpędzicie, to do ciotki.

Stary spojrział na oficera, ten wzruszył ramionami. Ojciec, zwyczajnie jak ojciec, miękł i wahał się.

— Wrócimy — odezwał się porucznik.

— A jak nie wrócicie? — rzekła stanowczo dziewczyna.

— Wrócimy, przysięgam pani — powtórzył.

— Ależ dopiero jutro wyprawa — tłumaczył dziewczynie ojciec — i niech się dzieje co chce pójdiesz z nami, ale dziś to tylko... jak się nazywa? — zwrócił się do oficera.

— Rekonesans.

— Rozumiesz, rekonesans, podpatrzymy, gdzie są i co robią niemcy, a jutro w drogę.

— Przysięgasz mi ojcze?

— Przysięgam!

W podziemiach.

— Zostanę—rzekła po chwili namysłu.
Na wszelki wypadek załóż liśćmi otwór.

— Dobrze.

— No, i nie pożegnasz się z nami?

Lód z serca dziewczyny stopniał. Rzuciła się w objęcia ojca. Młody człowiek wyciągnął do niej rękę. Podała mu, lecz ją w tej chwili cofnęła.

Wyszli,—na świecie zimno, mimo to ziemia uwolniona od śniegu zieleniała. Wiatr huczał w górze, muskając zaledwo wierzchołki drzew. Księżyc świecił, lecz z zachodu na wschód pędziły czarne, rozwleczone po niebie chmury.

— Dobraśmy noc wybrali—szepnął stary.—
Ja idę naprzód, pan za mną. Uważaj na każdy mój ruch, na każde skinienie moje bądź gotów. Nie będziemy mieli czasu na rozmowy.

Poszli, ginąc w sosnowych krzakach. Patrzała za nimi dziewczyna, wydobyła się z otworu, lecz już ich dojrzeć nie mogła.

— Jeżeli przez niego stracę ojca, zamorduję go!—zawołała i pięść podniosła w górę.—
Odebrał mi jego serce, a mnie traktuje jak psa.—
— Łzy zaświeciły jej w oczach.—Żałuję, że go ratowałam. U dziadka byłoby nam lepiej.

Stary szedł naprzód, za nim młody, baczny na każdy jego ruch. Co chwila stawali i rozglą-

dając się nasłuchiwali. Wszędzie było cicho, jakoś grobowo, ponuro.

— Jesteśmy—szepnął stary, zsuwając się do przydrożnej przykopy. Za nim poszedł porucznik. — Jeżeli nikogo nie zobaczymy na drodze, pójdziemy dalej.

Stary wyjrzał, księżyc rzucił garść światła, zobaczył z daleka jeźdźców.

— Jada—szepnął.

— Kto?

— Wychyl się, trzymając głowę przy ziemi i czekaj na księżyc.

Oficer wyjrzał z za przykopy, czekał na księżyc i zobaczył dwóch barczystych jeźdźców na koniach.

— Niemcy, albo francuzi — szepnął do leśnika.

— Pewno niemcy, zobaczymy.

Wyszli z przykopy, cofając się za drzewa. Niedługo czekali. Księżyc zaświecił na dwóch hełmach pruskich dragonów. Konie ich parskały, kiwając łbami. Tuż przy nich, ze związanymi sznurem przez plecy rękami, szedł w milczeniu młody człowiek. Jeden z niemców palił fajkę, drugi, chcąc rozgrzać zmarzniętą nogę, kopał nią w plecy więźnia.

Na widok ten krew zakipiała w żyłach francuzów.

— Niemcy—szepnął oficer.

— Zatem więźniem francuz.

Oficer skinął głową.

— Gdy moje strzały chybią, poprawisz —
szepnął stary.

Odwiódł kurki.

Niemieckie uszy wprawne do łowienia szelestu odwodzonych kurków. Stanęli.

Padły dwa strzały, dwóch niemców zwałiło się na ziemię.

— Dziewięciu poruczniku—szepnął leśnik, przytrzymując za poly towarzysza. -- Czekajmy, czy kto nie odpowie na nasze strzały.

Echa odpowiedziały, a po nich cisza przerywana śmiertelnem chrapaniem niemców i szamotaniem się więźnia usiłującego uwolnić się z powrozów.

— Chodźmy—zdecydował oficer, rozpędził się i jednym susem przesadził przydrożną przykopę. Za nim poszedł leśnik.

— Porucznik!—zawołał skrzepowany powrozami więzień.

— Józef!—pochwycił porucznik, poznając swego podoficera.

— Odwiążcie mi ręce — szelmy niemcy!— spojrzął na niemca, i odwrócił się od niego ze wstrętem.

Leśnik wyjął nóż myśliwski, jednym cięciem rozerwał powróż krępujący. Uwolniony wyciągnął ręce przed siebie, zrobił niemi parę swobodnych ruchów i rzucił się w objęcia swego zbawcy.

— Co się z tobą dzieje?

— Ze mną zwyczajnie, jak ze mną, mój poruczniku, Niemcy związanego jak barana prowadzili na rzeź. Ale porucznik o tej porze w lesie otoczonym Niemcami?

— Polujemy, oto i wszystko—co tu długo gadać, zaśmiał się stary. A teraz młody zuch zabieraj karabin, dwie ładownice i w nogi, bo źle będzie, przeczuwam, że bardzo źle będzie.

— Konie!—zawołał podoficer, pokazując na biedne zwierzęta, które wystraszone stanęły o kilkanaście kroków, parszając. Uciekajmy na ich koniach.

— Gdzie?

— Na północ, połączyć się z pierwszym oddziałem wolnych strzelców.

— Niemcy naokoło, a konie padną po ubieżeniu pięć mil—rzekł leśnik.

— Trzymajmy się pierwszego planu—rzekł oficer.

— Konie rozkulbaczmy i puśćmy je w las. Niemcy będą szukać koni, pomysła, żeśmy na

nich uciekli, lub je ukradli — zawołał z pewnością siebie stary. Konie rozkulał i postraszył, zmuszając je do przeskoczenia z przeciwnej stony przykopy. Oswobodzone z więzów zwierzęta, rżąc i parskając, uciekły w las.

— Marsz, marsz! — nalegał na towarzyszy stary—kto wie, co jutro będzie. Do nory!

Podoficer niósł karabin i dwie ładownice.

— A, moje plecy!—zawołał. Niemiec tłukł mnie nogą, a buty miał podkute gwoździami. Kopał mnie, bo wiedział, że jestem związany. Chciałem kąsać go zębami, przysięgłem, że gdy las zgęstnieje ucieknę. Bawiła niemca moja wściekłość, i śmiejąc się kopał mnie nieustannie.

— A kiedy usłyszałeś strzały? — przerwał oficer.

— Byłem pewny, że nasi, że wolni strzelcy.

— Co za strzelcy?

— Jako porucznik nie wiesz, że po całej Francji potworzyły się oddziały frank-tirerów?

— Nie wiem.

— Z niewoli niemieckiej uciekłem do nich. Niemcy złapali i prowadzili, aby sprawdzić tożsamość osoby, a potem rozstrzelać. Słysząc, że się tworzą armie, które mają iść na odsiecz Paryża.

Leśnik szedł naprzód, stanął, położył palec na ustach.

— Cicho—szepnął—okrażamy nasz dworek, iść ostrożnie i uważać, oglądać się. Niemcy mogą tam popasać.

Szczęśliwie dobili do sosnowych krzaków, stary rekognoskował chwilę i nareszcie pomknęli do otworu pnia starego dębu.

Anusia czekała u wejścia.

— I czegoż tu siedzisz?—zawołał leśnik.

Dziewczyna zdziwionemi oczyma patrzyła na przybysza.

— Przedstawiam pani mego podoficera i przyjaciela, imię mu Józef.

Podoficer uklonił się jak umiał najzgrabniej.

— Właśnie czas na prezentacye—odezwał się stary—gdy może w tej chwili niemieckie oczy nas szpiegują. Do nory marsz, zapal lampkę i poświeć nam.

Dziewczyna zniknęła w otworze, podoficer spojrzął na porucznika zdziwiony.

— No, poruczniku, idź naprzód przyjąć gościa.

Porucznik zniknął. W głębi otworu zablýsło światełko.

— Śmiało, śmiało — zachęcał stary podoficera.

Nowy gość spuszczał się powoli w otwór, trzymając się pnia, póki nie poczuł pod nogami podstawy z liści.

— A więc to tu? — spytał rozglądając się.

— To dopiero — przedpokój — odezwała się dziewczyna. — Gdy ojciec wróci pójdziemy do salonu, jak mówi pan porucznik.

Podoficer również się rozśmiał, lecz śmiech dziewczyny zakołatał mu w sercu, a dziwnie dźwięczał w uszach.

Stary obserwował krzaki, rekognoskował z południa, północy, zachodu i wschodu.

— Woda jest? — spytał córki.

— Pełna beczka.

— Drzewo?

— Wystarczy na tydzień.

— Trzydniówka nas nie minie. Niemcy rozwścieczeni przetrząsać będą cały las.

Zasypali otwór, przycisnęli go deską, dziewczyna świeciła, podoficer się dziwił, stary ręce zacierał i z dumą powtarzał:

— Dziewięciu, już dziewięciu!... Gdyby tak jeszcze trzech! — Namiętności w nim grały, powodzenie rozzuchwalało go.

Zasiedli przed ogniskiem do uczty po zwycięstwie, a na cześć uratowanego.

— Armia nasza powiększa się—mówił stary — będzie nam śmieiej wykonać nasz wielki plan. Rekonesans się udał!

Dziewczyna okazywała wiele uprzejmości gościowi, czarując go. Chłopak parę miesięcy nie widział kobiety, nie dziw, że lgnął do niebieskich oczu i na uśmiech odpowiadał uśmiechem.

— Hulajmy, jeszcze dziś nam wolno! Andziu drzewa—wołał stary.

Dziewczyna kładła na ogień drzewo, wesola z rychłego powrotu ojca, szczebiocząca i nadskakująca gościowi. Na oficera ani razu się nie spojrzała, marzenia zamieniały się w czyn.

Spostrzegł te zabiegi oficer, uśmiechał się, lecz obrażona duma odzywała się w nim o swe prawa, o bezwzględne panowanie nawet nad sercami, które w duchu lekceważymy. Ambicya jest nienasyconą. Spoglądał na dziewczynę litośnie, lecz serce jego zaczął toczyć robaczek zawiści, malutki robaczek, który jednak mając obfity żer mógł urosć i wypaść się, gdyby miał czas.

Stary nic nie widział, jak zwykle, jak zawsze starzy nie umieją patrzeć na dzieje i dramata serc swych dzieci. Stary stawiał się w położeniu francuzów z wielkiej rewolucyi i pier-

wszego cesarstwa, porównywał ich z sobą i powtarzał raz po raz w duchu liczbę „dziewięć“. Dokuczala mu samotność, rad był wydobyć się z nory, szukał pretekstu i znalazł go.

— Radbym widzieć, jak jutro niemcy będą wyprawiać gonitwy po lesie—odezwał się. Mam skrytkę w lesie, gdzie mogę wybornie widzieć.

— Ale tam nie pójdziesz—zawołało dziewczę.

— Zostaniesz z nami. Nie można się rozdzielać w tak ważnej chwili—poparł porucznik.

Podoficer wychylił się spoglądając w otwór drzewa, przez który dym wychodził.

— Daleko można zobaczyć przez otwór tego drzewa?

— Ze dwieście kroków, w około niskie krzaki.

— Możemy patrzeć wywierciwszy w otworze małą dziurkę.

— Tato, doskonała myśl!

— I cóż zobaczymy? — zrobił uwagę niekontent z projektu stary.

— Wszystko, co nam potrzeba. Wewnątrz zrobimy otwór duży na całe główę, a przy samym końcu małą na wielkość źrenicy.

Projekt przyjęty, po skończeniu kolacyi wzięto się do wykonania go. Podoficer młodzieńcze lata przepędził w warstacie stolarskim, z ła-

twością więc przyszło mu, chociaż miał tylko siekiereę i świderek, dokonać dzieła.

Rozpalał w żarzących węglach bagnet z niemieckiego karabina i nim wypalał kwadratową szparę w drzewie na wielkość głowy; poczem siekierą drzewo wyłupał, a świderkiem wywiercił dwa otwory dla oczu.

Po dokonaniu dzieła zmęczeni rzucili się na posłanie z liści; dziewczyna zniknęła za zasłoną. Stary jeden czuwał czekając brzasku dnia, aby wyrzeć przez nowo zrobiony otwór. |

Nad kominem z pnia postawił stół, na stole stołek i po tak zaimprovizowanej drabinie dostał się do otworu.

Zaczęło świtać. Przy brzasku jutrzeńki za ledwo rozpoznawał przedmioty; rozwidniło się, a wtedy mógł objąć okiem przestrzeń sięgającą aż do ścian jego dworku. Patrzył i słuchał, lecz nic nie zobaczył nadzwyczajnego i nic nie usłyszał.

Pierwszy przebudził się porucznik.

— Co się dzieje?—pytał ciekawie.

— Dotąd cicho—odparł stary.

Anusia wyświeżona wyszła z za zasłony.

— Jeżeli do nocy będzie cicho, opuszczamy podziemia dziś—zdecydował oficer.

— Panie podoficerze, pobudkę już prze-

trąbiono! — wołał na młodego towarzysza leśnik.

Podoficer zerwał się, lecz zaraz upadł na posłanie.

— Poruczniku, pomóż mi, nie mogę się dźwignąć—niemiecki but widać był twardy.

Anusia podbiegła wyciągając ręce, podoficer się zarumienił, podał rękę dziewczynie i z jej dopiero pomocą podniósł się z trudnością. Porucznik zmarszczył brwi, lecz milczał. Dziewczę myślało, że się rozgniewał na nią i cieszyło się w duchu, gdy przeklinał potłuczone plecy towarzysza.

Jedyna chwila ucieczki stracona! Chciał biedz sam, nie znał jednak drogi. Francuzi tworzą armie, biją się, zwyciężają bez niego! Wojna się skończy, a on wróci w szeregi porucznikiem, gdy tymczasem przy uśmiechu fortuny mógłby być Masseną, Kleberem, Davoustem, Napoleonem—zbawić Francją! Projekt wykonania planu upadł, a dzień poświęcono na rekonoskowanie przez zrobiony otwór, na spożywanie resztek rogowca i smarowanie sinych pleców podoficerskich.

Rozbudzona fantazyja oficera dręczyła go, odbierając mu humor. Chodził zasepiony i milczący. Ambicyja szarpała mu nerwy. Biją się

i zwyciężają, a on zapomniany wegetuje w podziemiach, polując na niemców, jak myśliwy na zające. Tymczasem ma on odwagę, przytomność umysłu wśród gradu kul i genialne wtedy pomysły. Odwracał się pełen gniewu od zalotów podoficera.

Tryumfującej dziewczynie zdawało się, że się mści i dlatego wybuchała wesołością, usta stroiła uśmiechem. Serce podoficerskie topniało pod promieniami oczu dziewczęcia.

Minął dzień. Jutro miały się rozstrzygnąć losy naszej gromadki.

Od samego rana leśnik, zagłębiany w otworze pnia, rekognoskował, starając się używać terminów wojskowych. Raptem cofnął się do nory.

— Niemcy—szepnął, zsunął się na ziemię—oblawa! Piechota i kawalerya, mają psy! Widziałem psy myśliwskie i czarne terreneuwy.

Dziewczyna zbladła, zapomniała o zemście i sercowych sprawach; strach i siła zachowawcza pochłonęły ją całą.

— Gdyby psy były tylko myśliwskie, nicby nam nie zrobiły, lecz terreneuwy są tresowane do polowania na ludzi. Wywęszą, a niemcy nas wyduszą.

Oficer wskoczył na rusztowanie i zagłębił się w otwór.

Obława maszerowała w porządku. Żołnierze, rozstawieni o dwadzieścia kroków, tworzyli pierwszą linię łańcucha. W pośrodku oficerowie trzymali na długich smyczach psy, z obawy aby nie uciekły w pogoń za zwierzyną. Porucznik zobaczył jak pies się rwał w stronę nory; oddech zaparł mu się w piersi, serce biło gwałtownie.

Prusak szarpnął silnie smyczą, pies zaskomlał, odwrócił głowę i rad nie rad pogonił naprzód. Za piechotę, również w tyralierskim łańcuchu, szła kawalerya.

Słychać było odgłosy trąbek i komend oficerów, parskanie koni i przekleństwa żołnierzy. Obraz jak w panoramie przesunął i znikł. Zaledwo zdaleka dolatywały niesione przez echa sygnały trąbek.

Porucznik zsunął się do nory. Leśnik gorączkowo przysposabiał ładunki, podoficer mu pomagał, dziewczyna blada i uroczysta stała zamyślona. Pierwsza zobaczyła oficera, ojciec uprzedził ją z zapytaniem:

— Idą tu? odkryli nas?

— Zniknęli w lesie, już ich nie widać.

— A psy?

— Są z nimi.

Leśnik podniósł ręce do góry.

— Boże, czuwasz nad nami!

Dziewczyna się zarumieniła, spojrzała na oficera.

— Już nie wiem, który raz jesteście uratowani; — przerwał uniesienia starego młodzieńca.

— Bóg tak chciał!—zawyrokował leśnik.

— Fatalizm zachowuje mnie na coś lepszego jak na śmierć w norze, z bagnetem w ręku!—pomyślał oficer i wyciągnął rękę do starego, drugą podał podoficerowi. Uściskali się szczerze, ciepło i serdecznie, zwyczajnie jak uratowani.

— Pani troszkę zbladła — odezwał się cicho podoficer do Anusi.

— Żal mi było ojca — odparła strojąc minkę.

— Tylko ojca? własnego życia nie? Mnie najwięcej żal byłoby pani.

Dziewczyna miała ochotę rozśmiać się, lecz udała, że jest mocno zajęta przyrzadzaniem obiadu.

Z poza ściany wrócił leśnik oświadczając, że zapasy owsa i siana niezadługo się skończą, że zostaje tylko słoma, że mięsa niema zupeł-

nie, wina pięć butelek, koniaku co się znalazło w manierkach dragonów, a pszenicy na mąkę dwa litry.

I znowu zapanowało ogólne przerażenie.

— Tempředzej opuścimy norę! — zdecydował oficer, chąc podtrzymać upadającego ducha. — Jakże twoje plecy mości podoficerze, pozwolą na forsowny marsz?

— Moje plecy poruczniku, dziś do drogi gotowe, chociaż jeszcze kłują i pieką.

— One to wypiją wszystek nasz koniak — rzekł stary.

— Protestuję! — zawołał oficer — do równego działu po połowie.

Dobry humor wrócił, stary zarznął dwie kury, Anusia troszkę za niemi płakała, lecz gdy się upiekły, pogodziła się z losem.

Dzień przeleciał szybko, a za nim i noc.

Rano leśnik zbudził oficera.

— Poruczniku, jesteśmy zgubieni!

Oficer zerwał się na równe nogi, ubierał się przerażony, ręce mu drżały.

— Co takiego?

— Niemcy.

— Gdzie?

— Tuż, — usadowili się w moim dworku.

Mniejsza o niemców, ale psy, czarne psy.

— Zwietryły nas?

— Dotąd jeszcze nie, lecz spoglądają w naszą stronę.

Porucznik już się ubrał, skoczył na rusztowanie, zagłębił się w otworze dębu i patrzył. Żołnierze palili ogień, psy pokładły się przy ognisku. Nie był to obraz zbyt pociągający dla oczu porucznika, aby mógł patrzeć na niego długo.

— No cóż, no cóż? — pytał leśnik, wargi zbieleła drżały mu, pięści nerwowo zaciskał.

— Niewesoło, lecz jeżeli psy nas nie zwietryzą przetrzymamy parę dni, i gdy Niemcy przyzwyczają się do miejsca, umkniemy im.

— A gdy psy zwietryżą?

— Zginiemy.

Stary spojrział na zasłonę, lzy mu świeciły w oczach, otarł je rękawem.

— Tylko nie rozpaczać—szepnął porucznik, chociaż głos zasychał mu w gardle. Zatkaną słomą otwór i przedział między drugą a trzecią norą zasypać.

— Obudzić podoficera?

— Niech śpi — nie może jeszcze łopata pracować. Nie straszycie dziewczyny—dodał.

Otwór dębu zatkali i pocichu przesunęli się poza ścianę ze słomy. Kury, kartofli resztę

W podziemiach.

i wino przeniesione zostały z łatwością do drugiej nory. Ciężej było z beczką napelnioną wodą do połowy.

Spojrzeni obydwaj na beczkę, a potem na siebie.

— Na wiele jeszcze wystarczy?

— Najwięcej na trzy dni — odparł leśnik.

— A więc czwartego wyjdziemy napić się do strumyka, i w drogę. Tymczasem krowa musi ustąpić miejsca.

Stary westchnął za krową, lecz nic nie odpowiedział. Beczkę przeciągnięto, tocząc ją brzegiem dna.

— Zasympmy całą norę, a przynajmniej jej połowę piaskiem.

— Połowę wystarczy — rzekł z rezygnacją leśnik, którego opanowała rozpacz.

Po odsunięciu deski i odgarnięciu liści wzięli się do dzieła, kopiąc w jednej połowie dół, zasypując drugą. Pracowali godzinę, pot strumieniami spływał im z czoła. Coraz ciężej im szło, piasek stawał się za każdym wyrzuceniem łopaty wilgotniejszy. Stary przeczuwał wodę, lecz milczał. I młody człowiek marzył o wodzie, lecz również milczał. Nareszcie dno kopanego dołu zaświeciło.

— Kopmy ostrożnie!—zawołał oficer—źródło może wytrysnąć i zalać nas.

Istotnie po kilku jeszcze łopatach wyrzuconej ziemi, woda zaczęła się szybko wydobywać. Przestraszeni zaczęli ją zasypywać — i zasypali.

— Niema obawy — rzekł porucznik. I znowu wziął się do pracy, leśnik mu pomagał. Woda po wyrzuceniu trzech sztychów ziemi zaczęła przybierać, lecz zatrzymała się w tej samej wysokości co poprzednio.

Otwór starego pnia i część nory zasypane. Pracownicy w milczeniu podali sobie ręce. Zasłużyli na śniadanie.

Dziewczyna, wierząc w rozum ojca, odwagę oficera i dzielność jego towarzysza, spała spokojnie.

— Woda! — zawołał leśnik wchodząc do salonu podziemia.

Anusia usiadła na łóżku.

— Znaleziona woda; niemcy nas nie uduszą pragnieniem i nie wyszczują psami!

— Więc nie będziemy już chodzić po wodę, ojczy!—zawołała z za zasłony.

— Nie, nie będziemy i zostaniemy, dopóki nasi nie odegnają ztąd niemców.

Z gotowaniem śniadania przeniesiono się do trzeciej nory.

— Leśnik z oficerem zostali.

— Może by dobrze było wyrzeć co niemcy porabiają?—spytał stary.

Oficer wszedł na rusztowanie, posunął w górę słomę i patrzył.

Patrole nocne wracały. Zziębnięci niemcy grzali się przy ogniu, gotując śniadanie. Zatrąbiono, oddział stanął w dwóch szeregach, pokazał się oficer. Odbierał raporta, lustrował, rachował. Nareszcie niemcy zaczęli znosić ścięte drzewo i stawiać baraki.

— Cały pluton z oficerem!—zawołał zeskakując z rusztowania. — Posyłają na wszystkie strony patrole, budują się.

— Dobry punkt wybrali — odezwał się stary—sam środek lasu. I cóż nam teraz pozostaje robić?

— Czekać—rzekł oficer. Na wyraz czekać serce oficera ścisnęło się, krew uderzyła mu do głowy. Czekać i zmarnować życie, przyszłość!...

— I nareszcie zjemy wszystko i z głodu pomrzemy — przemówił stary, który przyciśnięty niepowodzeniem upadał na duchu.

— Jak tylko podpatrzę, kiedy ściągają patrole, a kiedy je rozsyłają, pomaszujemy!

— A psy?

— Obejdziemy ich.

— Trzeba, chcąc dobrze obejść, kołować dwie mile, a wtedy w jasny dzień staniemy na czystym polu.

— Wyjdziemy w dzień, a w nocy na czystym polu. Na jak długo wystarczy żywności?

— Na trzy dni.

— Za trzy dni w pochód!—zawołał oficer.

Krowa przy akompaniamencie płaczu i rozpaczycy Anusi oddała ducha. Straż zorganizowana: leśnik i dwóch młodych ludzi zmieniali się po kolei. Pierwszą noc wartował stary i dobrze wywiązał się z zadania.

Podoficer coraz więcej stawał się ponurym, Anusia coraz była żywszą i swobodniejszą.

VIII.

Już siedm dni i nocy minęło na czatach a przyjaciele nasi nie mogli sobie powiedzieć, że las jest wolny od niemieckich patroli. Węgle już się spaliły, mięso zaczęło się psuć, arab

jadł słomę, została ostatnia butelka wina, światła zaledwo na godzinę, zimno przejmowało do kości. Dziewczyna ostatni placek położyła na stole, zjedzono go w milczeniu.

Podoficer patrzył na bladą Anusię, która już przestała się mścić, powtarzając w myśli:

— Jeżeli umrzemy, to wszyscy razem...

Stary był zgnębiony, lecz również milczał ponuro. W bezczynności smutek i rozpacz biorą w opiekę człowieka, stary rozżalił się na los, spoglądał na dziecko, a wtedy oczy zachodziły mu łzami.

Jeden porucznik nie tracił fantazyi. Jemu jednemu ambicya nie pozwalała zachwiać się, ukorzyć przed fatalizmem i ręce załamać. Na ostatnią chwilę miał projekt, wprowadzie szalony, lecz możliwy do wykonania.

Nie zaglądano już na niemców. Pocóż pa-trzeć i serce sobie krwawić.

Było rano, zaledwie piąta, porucznikowi zdawało się, że słyszy odgłos trąbki, poskoczył do otworu i patrzył.

Godzinę całą stał w otworze. Nareszcie ze-skoczył, wołając:

— Drzewa, rozpalać ogień!

Leśnik się zerwał, podoficer rozwarł szeroko powieki, Anusia wybiegła z za zasłony.

— Drzewa!—wołał porucznik.

— Niema go już—odparł leśnik, myśląc że oficer zwaryował.

— Porąbać deskę, drąg i beczkę!

— Co się stało? — pytała wystraszona Anusia.

— Niemcy uciekli.

— Ale może wrócą!

— Nie, nie wrócą, podpalili swoje szałas.

— A moje domostwo?

— Stoi.

— Stodoła, stajnia?

— Nietknięte.

— A więc ognia!—zawołał pełnymi piersiami stary.

— Piec co jest, jeść co jest, wypić wszystko i dziś jeszcze, przed wieczorem, po południu, zaraz w drogę!

Deska porąbana, drzewo ułożone w stos, płomień buchnął, poćwiertowane mięso z krowy piekło się pod komendą podoficera. Anusia meła ostatnie ziarenka kawy, ojciec jej ostatnie kartofle wyszukiwał w piasku, porucznik ostatek owsa z ostatnią wiązką słomy dał arabowi. Podczas uczty ostatnią wypili butelkę wina, koniaku dawno już nie było.

Postanowiono konia zabrać z sobą.

— Do pracy, do pracy!—wołał stary, objawiając swój wyborny humor śmiechem i gromkim głosem.

Na to hasło gromadka przeniosła się do trzeciej nory,

— Odgrzebać wyjście!

Po półgodzinnej pracy zobaczyli światło.

Odmłodzony leśnik pochwycił dubeltówkę i wybiegł, pędząc na oślep do swej zagrody. Otrzeźwiał jednak, gdy ją zobaczył, zwolnił biegu i czaić się zaczął.

Nikogo; domek, zabity deskami, był ciepły i suchy. Na podłodze dużo słomy i papieru, na kominie popiołu.

Szałas jeden ostatni spalił się, inne stały rzędem, a było ich jeszcze pięć.

Rozweselony wrócił do swoich.

— Niemców na lekarstwo nie znajdzie. Może to już i pokój.

— Nie, nie, bo dotąd nie było odwetu! — zawołał oficer.

Wykopali przejście dla araba i Nerona; zabrano żywność na cały dzień. Rany już zgojone, plecy podoficerskie w połowie zbieleły, były więc siły, była nadzieja, był i humor, który się streszczał w dowcipach leśnika.

Stary tryumfował, dziewięciu Niemców po-

łożył; on jeden nie cofnął się ze stanowiska, jak przystoi na francuza z wielkiej rewolucyi. Znajomi z sąsiednich wiosek będą mu zazdrościć, w miasteczku będą go szanować i dziwić się.

Wszystko zostawiono tak jak było, nie zdjęto nawet zasłony, przejście zasypyano, otwór starego dębu przykryto kamieniami i w drogę. Stanęli na ziemi, spojrzeli w niebo, spojrzeli w przestrzeń i uśmiechnęli się. Piersi ich rozsadyła radość, bo wolność była z nimi. Arab rozglądał się, nozdrzami gwałtownie chwycił powietrze i nareszcie zarżał radośnie. Neron zakomlął, a potem zaszczekał, łasił się i skakał.

Poszli weseli śmiało i raźnie. Anusia tryumfująca, podoficer zapatrzony w jej bladą twarz i duże niebieskie oczy. Zajrzeli do domku leśnika, porucznik przeglądał papiery porzucone na ziemi. Były to kopie raportów. Chciał odnaleźć powody odwołania plutonu, lecz napróżno.

Oficer spojrzął do ręcznej mapki, którą wyrysował na podstawie opowiadań leśnika; poszli. Przed starą hamernią zatrzymali się w krzakach. Leśnik myszkował, chcąc się przekonać, czy w hamerni niema Niemców. Nikogo, lecz siana dla araba także nie było, zaledwo z okrucichów udało się zebrać małą wiązkę. Odpoczywali zjadając w milczeniu przyniesione zapasy.

Leśnik jedząc, rozglądał się, zwyczajem starych myśliwych, na wszystkie strony.

Od strony stawów posuwał się mały, czarny punkcik.

— Do broni!—szepnął.

Młodzi ludzie pochwycili za broń; Anusia, trzymając psa za obrożę, stanęła przy ojcu.

Czarny punkt zwiększał się powoli.

— Cofajmy się!—dał rozkaz porucznik, bojąc się, aby fatalizm nie stanął mu w poprzek na drodze.

Czając się poza ściany starej hamernii, dostali się do krzaków. W dobrze wybranym punkcie wyczekiwali.

Czarny punkcik rosnąc, zmienił się w francuzkiego wieśniaka z koszem na plecach.

— To Gringolin, tato—szepnęła Anusia.

— Prawda, to Gringolin! — zawołał stary i śmiało ruszył naprzód.

Gringolin stanął wytrzeszczając oczy.

— A to pan, panie leśniczy, z tamtego świata; a to wasza córka! Córkę mieli niemcy zabić w lesie, gdy wracała od ciotki, a ciebie spalić w własnej chacie.

Leśnik rozśmiał się dumnie.

— Cóż tam niemcy mówili o tych niespodziankach, jakie ich spotykały w lesie?

— To, to wasza sprawka! Kłaniam się! O, o niemcy wtedy dostawali wścieklizny.

— A cóż mówili o dragonach i uwolnieniu więźnia?

— I to wasze dzieło! — Gringolin zdjął czapkę.—O, o wtedy to już było gorąco, niemcy przetrząsnęli wszystkie wsie, w lesie polowali z psami jak na zwierzynę. Ludzi po drogach łapali, nawet mnie staremu, co każdego dnia robię tę drogę, grozili śmiercią, jeżeli nie wydam, gdzie są mordercy! Las był obstawiony. No, no, panie leśniczy, narobiliście bigosu niemcom. Skóra cierpnie na samą myśl, coby wam zrobili, gdybyście im wpadli w ręce.

Stary był dumny i szczęśliwy. Wiedział, że Gringolin po całej okolicy roznosi pieczywo i opowie o jego zwycięztwach i odwadze.

— Będą mnie szanować i zazdrościć mi—myślał w duchu.

Rozmawiając zbliżali się do gromadki, umieszczonej w krzakach.

— A oto więzień odebrany dragonom — odezwał się stary, pokazując podoficera.

Gringolin się uklonił.

— Niemcy, gdzie są niemcy?—pytał żywo oficer.

— Niedaleko — odparł Gringolin — z półtorej

mili w murowanej karczmie i młynie ze stawami, ale ich niewiele zostało.

— Cofają się.

— Podobno ściągają ich pod Paryż.

— Biją się pod Paryżem?

— Mówią, że jeszcze nie, ale się bić będą.

— Będą? kiedy?

— Ba kiedy, albo to Niemcy puszczają wiadomości. Mówią, że Gambetta z Tours ciągnie na czele armii loarskiej. Czemu ludzie nie mówią? Dobry Boże!

— Dawno Niemcy poszli?

— Nie później jak dziś, cała dywizya, piechota, konnica, armaty.

— Dziś, a więc chodźmy i my!

— Konie dragońskie złapali Niemcy?—pytał leśnik więcej zajęty losem swej kampanii, aniżeli losem armii loarskiej.

— Właśnie, że nie złapali—zawołał Gringolin i nachylając się do ucha starego szepnął mu: wiem, z pewnością wiem, że Tribou je znalazł, same wpadły na jego podwórko. On też na nie skoczył, dobił szczęśliwie do Calais i sprządał dla naszej armii. Tribou się obłowił, Tribou wyjdzie na pana, zobaczycie.

— A tam—porucznik pokazał na północny zachód—Niemcy daleko?

— W miasteczku zostawili pluton piechoty, gdzieś dalej podobno kawalerya. Radzę, miejcie się na ostrożności. Patrole przebiegają dniem i nocą.

— A nasi wolni strzelcy?

— Nie widzieliśmy ich. Tu się jeszcze nie pokazali.

Sprzedawszy naszym podróżnym ostatek pieczywa. Gringolin odszedł dzielić się wieścią o wielkich czynach leśnika i nareszcie rozwikłać tajemnicę wypadków w lesie, któremi żyli patrioci miasteczka już od miesiąca.

— Zmieniamy projekt—rzekł cicho leśnik po odejściu starego—już nie do ciotki, ale do Tribou! Tak do Tribou dotrzemy w nocy.

— Gdzie chcecie — odparł oficer — gdzie chcecie, byle jaknajprędzej wyjść z matni niemieckiej i połączyć się z pierwszym naszym oddziałem. Armia loarska idzie na odsiecz Paryża, a my jeszcze tu! Zgroza, hańba!

Podoficer spojrział na Anusię smutnie, dziewczyna zarumieniała się i serce jej zadrżało. Dawniej serce jej drżało, gdy się zbliżał porucznik.

Zarumienił się i podoficer. Dziewczyna chcąc pokryć wzruszenie, odezwała się:

— Dla czego nie idziemy do ciotki, ojczy?

— Stara czarownica z samego strachu mogłaby nas zdradzić; Tribou z końmi dragonów drapnął do Calais i wrócił. No i Tribou powinien nam być wdzięczny za ten prezent. Do Tribou bliżej i bezpieczniej.

— Do Tribou, do Tribou — powtarzał niecierpliwie się oficer.—Chodźmy.

Poszli krzakami wprost do drogi prowadzącej do domu Tribou.

— Niebo nam zesłało Gringolina — mówił leśnik.

— Armia loarska — powtarzał w duchu oficer drżąc z niecierpliwości.

Druga para milczała, spojrzenia ich krzyżowały się jak błyskawice, na twarzach pokazywały się rumieńce i gasły.

Stanęli na samym kraju lasu, ściemniało się, śnieg zaczął dużymi płatami spadać na ziemię, wiatr go pędził w przykopy, zdmuchując z dróg.

— Spocznijmy tu—odezwał się stary — aż do chwili gdy noc nastanie.

Spoczęli, leśnik poszedł szukać drogi.

Znalazł ją i gwizdnięciem dał znak, aby iść za nim.

Weszli na pole. Otwarty horyzont, chociaż zaciemniony nocą, przeraził ich, zaczęli się

bać, sami nie wiedzieli czego, oglądając się z żalem na las, jak na opiekuna i przyjaciela.

Na samym początku niewielkiej wioski stała murowana jednopiętrowa o dwóch oknach kamieniczka z malowanym szyldem i podpisem: „Restauracya pod wesolą sroką“. Była to własność i siedziba szczęśliwego Tribou. Niewielki płotek z akacyi ją otaczał.

Leśnik zastukał do okna, z którego przeglądało słabe światelko.

Słuchali odpowiedzi, lecz nie usłyszeli oprócz bicia własnych serc. Stary zastukał po raz drugi, nikt nie odpowiadał.

Zniecierpliwiony oficer uderzył silnie pięścią w ramę okna.

Odchyliły się drzwi, wyrzął Tribou, barczysty, o płaskiej, dużej a jowialnej twarzy, spojrzał na uzbrojonych ludzi, cofnął się szybko i drzwi za sobą zatrzasnął; chciał ich zamknąć, lecz plecy starego i młodych ludzi nie pozwoliły na to. Drzwi pod silnym naciskiem rozwarły się.

— Kochany Tribou uciekasz przed starymi przyjaciółmi? — mówił wesolo leśnik przestępując próg domu.

— D, e, e, — zaśmiał się nerwowo Tribou,

ludzi się nie boję, tylko przed duchami uciekam.

— Szkoda, żeś sprzedał konie dragońskie, uciekałbyś lepiej.

Tribou zbladł. Anusia zaczęła się grzać przy żelaznym piecyku, oficer i jego towarzysze usiedli.

— Sprze—da—łem, powtórzył — sprzedałem, ha, ha—śmiał się jowialnie. — No, no kochany pan leśniczy zawsze żartowniś, i zdrów i dobrze wygląda. — A, a, i panna z ojcem, jak to pięknie.

W drzwiach przyległego pokoju ukazała się pani Tribou blada, z zaciśniętymi ustami, w białym czepku pikardyjskim, przechylonym na bakier.

Tribou zobaczył czepek, domyślał się że jego rola skończona i zamilkł, a wtedy pani Tribou:

— Kto są ci ludzie i ta dziewczyna?—spytała groźnie.

— To ja kochana pani Tribou — zawołał leśnik.—Twój przyjaciel — to moja córka. Ten oto pan jest porucznikiem drugiego półku ułanów, a ten podoficerem. Teraz droga pani przyznam ci się, że to ja zsadziłem dwóch dra-

gonów, aby konie ich posłać ci w prezencie. I nie żądam za to żadnej nagrody.

— Idź po ludzi i zawiadom władzę! — zawołała pani Tribou do męża.

Oficer wstał, kładąc rękę na rewolwer.

— Tribou sprowadzi mera, abym przy świadkach zeznał o naszym wspólnym figlu spletanym niemcom,—zabrał głos leśnik. Wtedy konie te przejdą na własność Francyi i trzeba będzie zdać z nich rachunek; — jeżeli zaś są tu prusacy, ha, niechże się dowiedzą jak dzielny jest twój mąż! Tribou sprowadź ich.

— Więc czego pan chcesz!—zawołała pani Tribou. Wielki czepek pikardyjski drżał na jej głowie.

— Najprzód uśmiechu pani.

Pani Tribou uśmiechnęła się jak się śmieje hijena, gdy zobaczy szakala.

— O tak, bardzo ładnie—zawołał leśnik.— A teraz jeść, pięć butelek wina, płacimy gotówką! Tribou, koń marznie na dworze, zaprowadź go do stajni, nie żałuj mu obroku, prędko, i wracaj do nas. Leśnik dał znak oczyma podoficerowi, aby poszedł za nim. Podoficer wyszedł uzbrojony w rewolwer.

— Tribou—mówił dalej stary do oficera—nie jest zły ani ograniczony, ale strach robi często ludzi głupimi. Prawda pani Tribou? No, no zapomnij o tem, przygotuj na pierwszym pię-
W podziemiach.

trze kolacyę, rozpal na kominie ogień. Najlepszego wina pięć butelek na górę! Za litr koniaku płacę dziesięć franków, słyszysz pani.

Pani Tribou postawiła na stole flaszkę koniaku, leśnik wyjął dwie pięciofrankówki, podając je z galanterią. Oblicze pani Tribou rozpodziło się. Wszedł Tribou, za nim podoficer.

— Tribou, wiesz ostatnią wielką nowinę, Paryż wraz z armią loarską pobił prusaków!

Pani Tribou słyszała to w drugim pokoju, Tribou w nieobecności żony zatarł ręce i rozśmiał się.

— Prusaków u was niema?

Tribou mrugał oczyma i ruszał głową, że niema.

— Pani Tribou, bądź tak dobra poproś do nas męra na kolacyę,—Tribou chodź z nami.

— Mer już śpi, ja w nocy sama nie wychodzę—odpowiedziała pani Tribou z drugiego pokoju.

— Sam zajrzę do niego — odezwał się leśnik.

Poszli na górę, Tribou z galanterią francuza zrobił miejsce córce leśnika, stary szepnął do ucha oficerowi:

— Zwycięstwo, Tribou nas dostawi choćby do samego Calais.

Jedli i pili, a pijąc dowcipkowali jak przystoi na dzielnych francuzów. Podoficer pił jak

smok, lecz milczał jak sfinks, patrząc w oczy dziewczynie. Zdawało się, że dziewczyna rozumie tajemnicze myśli sfinksa, lecz nie byłaby francuzką, a przedewszystkiem pikardyanką, gdyby się odrazu wyrzekła nadziei zemsty, i nie byłaby francuzką i pikardyanką, gdyby odrazu dała poznać sfinksowi, że myśli jego odgaduje. Dlatego uśmiechała się czarownie do oficera, a chcąc go olśnić, usiłowała pokazać mu, że się umie znaleźć nawet w salonie państwa Tribou.

Pani Tribou podsłuchiwała; słyszała historię zszadzenia z koni dragonów niemieckich i słyszała zakończenie, jak stary przez przyjaźń dla Tribou, zapędził je aż na jego podwórko. Lecz co okropniejsza, widziała jak Tribou podochocony winem dziękował staremu.

— Przyznał się—szepnęła, zacisnęła pięści i pełna gniewu zeszła na dół, a wysoki czepek pikardyjski posunął się naprzód głowy, grożąc jak bagnet pruski w ataku.

Tymczasem w salonie rozprawiano nad sposobami przedarcia się poza linie pruskie. Nie mówiono już o Calais, lecz o możliwości dostania się do Abbeville lub Diepe.

— Przebierzcie się panowie za chłopów pikardyjskich w bluzy i w nocy marsz!—zaprojektował Tribou.

— Mogą nas zatrzymać prusaki, jako woltaryuszów śpieszących do tworzących się ar-

mij. Nareszcie moja niezagojona rana — rzekł oficer.

— Bez broni już nie umiemy chodzić— zdecydował z dumą stary.

— Odwożę słomę niemcom, pójdziecie ze mną przy wozie, niby na targ do Amiens. Moja sprzeda wam po parze gęsi i parze indyków. Ho, ho, Niemcy mnie znają i lubią.

— A tyś im konie zabrał!

Tribou zaczął się śmiać naiwnie i filuternie, jak tylko pikardyjczyk śmiać się umie.

Oficer skinął na starego. Wsunęli się w framugę okna i coś z sobą szeptali.

— A koń, pies i dziewczyna?—odezwał się stary głośno, wracając do stołu.

— Konia i psa przechowam — odparł Tribou.

— A to i dziewczyna niech zostanie— zdecydował ojciec.—Tribou, ładuj wóz, idziemy.

— Ja nie zostanę!—zawołała Anusia.

— A to co za grymasy, zostaniesz i basta, co ja z tobą w wielkiem mieście będę robił.

— Nie, nie zostanę,—powtórzyło dziewczę z mocą i załało się łzami.

— Ale to nie może być — przemówił Tribou—panowie idą z gęsiami na targ jako chłopci, a tu z nimi taka panna. To nie może być. Żona moja lubi dużo mówić, bardzo lubi dużo mówić, nie będzie się więc pannie przykrzyć.

Anusia, ocierając łzy, szepnęła parę słów do ucha ojcu. Stary wyjął z kieszeni złotą sztukę i dał dziewczynie, głaszcząc ją po twarzy.

— Co nie można, to nie można! — powtórzał podcięty Tribou.

— Tribou, ładuj słomę na wóz! — dał rozkaz stary. — Za godzinę w drogę.

Tribou rumiany, z czapką zasadzoną na tył głowy, wyszedł gwizdząc; na schodach zamilkł, schodząc jak mógł najciszej.

— Tribou — wołała za nim żona. — Tribou stój, zaczekaj.

— Jadę — krzyknął Tribou — rozumiesz, jadę i nie pytaj o więcej, zakazuję ci pytać mnie o więcej!

Tribou wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

— Słyszeliście — zrobił uwagę leśnik — ja znam Tribou. Siedział przy stole z porucznikiem armii, słyszał o Francyi, o zwycięztwie, pił dobrze. W tej chwili poszedłby na prusaków!

— Cóż na to pani Tribou?

— Pani Tribou oniemiała i będzie milczeć póki Tribou nie wróci. Znam ja Tribou, pozwoli on za nos się wodzić, ale tylko w powszednie dni. W święto Tribou ma nos dla siebie!

Otworzyły się drzwi, na progu stanęła młoda pikardyanka w kolosalnych rozmiarach czepku, trzymając pod pachą związaną gęś.

Stary się rozśmiał serdecznie, podoficer patrzył w dziewczynę jak w tęczę, lecz milczał.

— Wybornie, pikardyanka idzie z nami i z gęsią do miasta. Cieszę się, że się tak stało—odezwał się oficer.

— A pan, panie Józefie, wyglądasz jakbyś się gniewał i pewno myślisz, że będę wam przeszkadzać. Otóż ja i moja gęś przejdziemy wszystkie warty niemieckie, dowiemy się o wszystkim i wrócimy.

— Niech żyje pikardyanka ze swoją gęsią!—zawołał porucznik, ściskając serdecznie rękę dziewczyny, gdyż był pewny, że poświęca się dla niego.

Podoficer zarumienił się, lecz milczał. Dziewczyna знаła się na podoficerskich rumieńcach i dlatego coraz więcej uśmiechała się do porucznika—rozumie się w zamiarze zemsty.

Tribou zawołał z dołu na swych gości. Pikardyanka naprzód, za nią trzech zbrojnych mężów, zesli coprędzej.

W izbie czekała milcząca, poważna pani Tribou, aby odebrać za kolację i siano pieniądze. Porucznik zapłacił.

— A teraz—mówił wesoło Tribou — przebrać się, ale w co, jak? Możeby pójść do mera, on poradzi.

— Poradzimy sobie sami—przerwał leśnik. Pani Tribou daj butelkę koniaku i bądź zdro-

wa, a nie strasz tych ze swych przyjaciół, którzy ci wspaniałe robią prezenta.

Parę pikardyjskich małych, lecz silnych koni zaprzężonych do dużego dwukołowego wozu, naładowanego słomą — ruszyło; Tribou poganiał, towarzyszyło mu trzech uzbrojonych przyjaciół, z młodą dziewczyną na czele.

— Tribou przysięgasz, że Niemców nie znajdziemy w drodze?

— Przysięgam, że w nocy ich nie spotkamy, w dzień co innego. Było ich więcej, gdy uciekał z końmi, a nie złapali mnie. No, alem szkap nie żałował, dziesięć mil uleciałem przez jedną noc. Uważacie miasteczko zostało na prawo—pokazał biczyskiem — my pojedziemy prosto na Chame. Gdy miniecie Chame, byleście się dostali do stacyi kolei, jesteście w parę godzin w Diepe spokojni i bezpieczni. Tylko ta broń wasza i mundury? Gdy zobaczymy Niemców, uciekajcie, a ja powiem, żeście chcieli mi zabrać konie, a mojej córce odebrać gęś. Zaśmiał się po pikardyjsku.

— Noc całą przemaszerujemy razem — rzekł leśnik, klepiąc swą szeroką dłonią pikardyjskie plecy.

Broń położyli na słomie. Gęś usadowiła się na samym wierzchu wozu, patrząc poważnie przymrużonemi oczyma, na nędzne sprawy ludzkie.

Szli żywo, o ile posuwisty stęp koni pozwalają. Wjechali w mały, dębowy lasek, było ciemno—choć już świtać powinno, śnieg zaczął padać gęsto, czepek pikardyjski chwiał się. Dziewczyna bała się, aby nie opadł. Wyglądałaby wtedy śmiesznie; myśl ta przerażała ją.

— Kochany Tribou stój! — dał rozkaz leśnik.

Tribou stanął, leśnik wdrapał się na wóz, podał córce gęś, broń towarzyszą, a wiązki słomy zrzucił na ziemię.

Pikardyjczyk zaczął się uśmiechać, lecz jakoś nerwowo, wargi mu drżały, oczy wytrzeszczał.

— Ej, ej, pana leśniczego zawsze się żarty trzymają.

— Nie bój się Tribou — odezwał się oficer,—nie na tem nie stracisz.

Zaniepokojona Anusia pytała ojca:

— Cóż to ojciec myśli robić?

Ojciec nie odpowiedział, zrzucając z zawziętością wiązki słomy na ziemię.

Podano mu w milczeniu broń, ułożył ją na samym spodzie wozu.

— No Tribou, zarobisz po dziesięć franków od sztuki, gdy nas szczęśliwie i spokojnie przewieziesz na wysokość Chame, od prawej strony, od strony gór i wypuścisz gdzie w dobrym lesie. Wtedy już damy sobie radę. Szczęśliwie dobijemy do Amiens.

— Ależ to najmniej siedm lub ośm, a może dziesięć mil — tłumaczył się lamentującym głosem Tribou.

— Chociażby dwadzieścia, niestracisz na tem.

— A niemcy?— spytał z naiwnością.

— Właśnie głupcze schowasz nas przed niemcami. Dziewczyna pójdzie z tobą i gęsią, jako twoja córka.

Pikardyjczyk podrapał się w głowę.

— No, no do roboty— wołał leśnik— ułóżmy trzy dobre siedzenia, a potem przykryjesz nas słomą i przewiążesz powrozem. Anusiu uważaj, by nas widać nie było.

Pikardyjczyk po opozycyi wziął się do roboty. Anusia smutno patrzyła na wóz i słomę, zagrzebującą ojca i dwóch towarzyszy.

Konie zagrożone batem ruszyły, przy nich biegł Tribou, przy Tribou dziewczyna. Po dobrej godzinie jazdy pogrzebani w słomę uczuli, że koła wozu uderzają o bity gościniec. Domyślili się, że są na drodze do Chame.

Nasi bohaterowie kołysani monotunnością jazdy, drzemali sobie wybornie, gdy odgłos kopyt kłusujących koni obudził ich, a usłyszane „halt-halt“ otrzeźwiło. Pikardyjczyk zrozumiał ten wykrzyknik i konie zatrzymał — porucznik pomacał ręką rewolwer.

Na czele dwunastu pruskich huzarów nadbiegł oficer.

Po łatwym porozumieniu się, gdyż niemiec mówił po francuzku, kazał zawrócić i słomę odwieźć do stajni swego plutonu.

Pikardyjczyk zawrócił, udając uszczęśliwionego z propozycji. Dziewczyna zbladła, — oczy rozwarła, — chciała krzyżeć. Prusak pochylił się na koniu i zwyczajem niemieckim pogłaskał ją pod brodę, oświadczając, że jeżeli się obawia o gęś, kupi ją za cenę jakiej sama zażąda.

Dziewczyna milczała, mając łzy w oczach — oficer spytał się, czy tak bardzo żałuje gęsi, — odpowiedziała:

— Tak.

Oficer przyrzekł dogonić dziewczynę, gęś i słomę, spiał konia ostrogami i pogalopował w stronę Chame na czele dwunastu huzarów.

Tętent ustał.

— Poruczniku! — wydobywał się ze słomy stłumiony głos leśnika.

— Słyszałem — odpowiedział porucznik.

— Ojcie! Tribou was wiezie do niemców! — zawołała dziewczyna, zalewając się łzami.

Pikardyjczyk stanął.

— Słyszeliście panowie, jak się Tribou dzielnie znalazł? — zaczął rozmowę, przytykając głowę do słomy.

— Ruszaj! — wołał stary — nie zatrzymuj się ani sekundy, bo ci w łep strzełę.

Pikardyjczyk zaczął się śmiać.

— Ej, pan leśniczy zawsze żartowniś.

— Ruszaj!—krzyknął.

Tribou zaciął konie.

— Przegraliśmy—odezwał się porucznik.

— Nie przegraliśmy, nie przegraliśmy—odparł z mocą stary.

— Ależ niema strachu — mówił uśmiechnięty Tribou—niema strachu. W tym tu oto zaraz lasku przewrócę, staczając się powoli jednem kołem do przykopy. Wsuniecie się panowie ze słomy i w las—no, a po dwudziesto-czterogodzinnym marszu nie zobaczycie prusaków.

Tribou był w wybornym humorze, zrobił zadość patryotyzmowi i wdzięczności — przytem zarobił i dobrze sprzedał słomę. Dlatego Tribou śmiał się głośno i konie zaciął, by uciec jaknajprędzej przed nieszczęściem, które często lubi stawać na drodze powodzenia.

Biednym więźniom serca były z niecierpliwości i przerażenia. Leśnik zrobił otwór w słomie, wyglądając lasu, jako jedyne go pocieszyciela.

Nareszcie drzewa zaszumiały, koło powoli wsuwało się do przydrożnej przykopy. — wieża słomy zachwiała się, wóz runął na ziemię.

Tribou odwiązał powróż, — więźniowie powstali. Stary wydobył broń,—porucznik rzucił uśmiechniętemu pikardyjczykowi dwudziesto-

frankówkę,—dziewczyna pochwyciła gęś.—i we czworo zniknęli w krzakach.

Pikardyjczyk dał wiązkę siana koniom, zapalił fajkę, usiadł na przewróconym wozie, czekając pruskich huzarów.

— Co ten waryat myśli sobie? — awanturować się z młodzikami i dziewczynę pędzić z sobą. Niemcy jak przyszli, tak i pójdą. Zarobek u nich wyborny, a to już nie nasza rzecz mieszać się do nich, — to rzecz rządu. Rząd zrobi z nimi, co będzie chciał. Ale trafisz to z waryatami do końca? Tak rozumował Tribou, gdyż tak rozumowali pikardyjczycy i wielu francuzów.

IX.

Stary prowadził, gdyż on jeden umiał się oryentować w lesie. Droga była ciężka — śnieg mokry, chmury zasłaniały świat. Szli w milczeniu jak ludzie, którzy błądzą i jak ludzie, którzy stracili cel, a po cichu tracą nadzieję, nie śmiejąc się z tego spowiadać.

Smutno im było,—na niebie ponuro,—na ziemi wilgotno i ciężko. Szli nie odpoczywając. Anusia pierwsza zaczęła upadać na siłach—błądła i chwiała się idąc.

— Która godzina?—odezwał się podoficer.

— Czwarta—odpowiedział porucznik.

— Czwarta—powtórzył leśnik—o dziesiątej Tribou wyrzucił nas z wozu—sześć godzin marszu, cztery do pięciu mil musieliśmy już ujsć;—odpoczynek!

Nie było odpowiedzi, zatem zgoda ogólna.

Strzepano śnieg z powalonego przez burzę drzewa, siadając z rozkoszą ludzi, którym się zdawało, że wymykają się z objęć śmierci, lecz tego nie mają jeszcze odwagi głośno powiedzieć.

Dziewczyna rozwiązała gęś. Biedacze zdrętwiały nogi, powstać nie mogła—siadła na śniegu, wyciągnęła szyję i oczy zmrużyła z głodu. Milezała jednak.

Rozłożono zapasy i spożywano je w milczeniu. Podoficer patrzył na dziewczynę, dziewczyna karmiła gęś,—a zmęczoną głowę oparła o ramię ojca.

Stary odkorkował plecionkę z koniakiem, pito w milczeniu. Lecz koniak nie znosi ciszy—cisza go obraża, dlatego rozwiązywał powoli usta.

— Cóż u pana Boga — zawołał pierwszy leśnik—czy nam się jeszcze ciągle zdaje, że nas pruskie huzary gonią. Mileczymy jak zakłęci.

— Żebyśmy nareszcie wiedzieli, gdzie jesteśmy i dokąd idziemy?—rzekł porucznik.

— Na północ, przysięgam, że na północ, trzymając się zachodu.

— I któż wie czy mimowolnie nie wej-
dziemy w paszczę niemcom.

— Mam nadzieję, że nie. Może przecież
kogo zdybiemy na drodze,—zobaczymy jakieś
światelko.

Podpili po raz drugi z plecionki. Podofi-
cer uśmiechał się do dziewczyny — dziewczyna
zarumieniała się od koniaku.

— Pierwsze światelko zdybane, weźmiemy
szturmem—rzekł oficer.

-- Szturmem!—powtórzyli towarzysze.

— A teraz w drogę śmiało i przytomnie!
Resztę żywności schował stary do torby—
Anusia podniosła gęś, która jakoś weselej pa-
trzała na świat.

Ciemność obejmowała horyzont, śnieg pa-
dał, rozbitki zsunęli się w dolinę. U podnóża
góry pokrytej lasem wiła się wązka drożyna.
Puścili się nią śmiało w nadziei, że spotkają
żywą duszę, lub zobaczą światelko.

Długo szli i nie spotkali nikogo, nie zoba-
czyli światelka. Północ, dziewczyna potoczyła
się i upadłaby, gdyby nie podoficer, który ją
ujął w pól i zatrzymał.

— Ojczy — odezwał się młody wiarus —
córka wasza upada—stanęli.

— Na śniegu mamy nocować?—rzucił py-
tanie stary, tuląc Anusię do piersi.

— Lepiej jak paść na drodze — odpowiedział młody wiarus.

Stary widocznie miał energię do połowy niebezpieczeństwa, a przytomność w akcji; lecz gdy przychodziło całe niebezpieczeństwo i należało użyć za broń wytrwałości—upadał na siłach i wtedy porucznik obejmował dowództwo.

— Lepiej jak paść na drodze — powtórzył zdanie towarzysza oficer—a więc w las!

Rozkaz w milczeniu spełniono—poszli w las, brnąc po kolana w śniegu.

Stary powodując się instynktem, odszukał szeroką kotlinę, którą wiatr jesienny nappełnił liśćmi. Odrzucili jak mogli śnieg, rozgarnęli liście, dziewczyna przytuliła się do ojca. Podoficer nagarnął liście na porucznika i sam się obok zagrzebał.

Zasnęli—Anusia chociaż spała, jednak czuła, że ją ktoś okrywa, a nawet, że czyjeś usta dotykają się jej skroni.

*

*

*

— He, he, to pod taką pierzyną wysypicie się zuchy—ho-ho! A mówią, że i śnieg grzeje, jak się spać chce!

Leśnik otworzył cozy i zobaczył przed sobą staruszkę w wojskowej czapce i wojskowym płaszczu.

— Ojczy a zkądże — spytał.

— Ja z domu, no i wy także pewno z domu, ale kiedyście z niego wyszli?

— Wiara—baczność!—zawołał leśnik gromkim głosem.

Dziewczyna pierwsza powstała—za nią wyskoczył z poza przykrycia z liści porucznik, wydobywając karabin. Zakopany najgłębiej, powoli wydobywał się podoficer..

Staruszek zasalutował oficerowi.

— Zkąd? — spytał krótko oficer poznając w statym wojaka.

— Z pod Waterloo mój poruczniku — odparł stary. Z pod Waterloo, a dziś Sedan!— Stary rozpaczliwie machnął ręką.

— Cóż tu robicie?

— Pilnuję lasu — lecz niemcy broń odebrali.

— Daleko niemcy?

— Nie wiem mój poruczniku, tu ich niema.

— Daleko do Amiens?

— Dwie mile, ale trzeba się wracać.

— Gdzież jesteśmy?

— O pół mili od Sommy.

— Daleko od stacyi kolei?

— Półtory mili.

— Linia wolna od prusaków.

— Dokąd?

— Do Dieppe.

--- Wolna.

— Kiedy pociąg przechodzi?

— O 11-ej.

— Mieszkanie twoje na drodze do stacyi koleji?

— Na drodze mój poruczniku.

— Prowadź nas.

— Tak to lubię — rzekł leśnik. Krótko, węzłowato!

— I ja tak lubię — powtórzył staruszek — bo to zwyczajnie wojskowy raport.

— A więc zwycięstwo. — zawołał oficer.

— Leśnik zdjął czapkę i spojrział w górę, — podoficer krzyknął:

Niech żyje Francya!

— Z daleka? — pytał ciekawie staruszek prowadząc rozbitków.

— Z samej paszczy niemców — odparł leśnik.

I dopiero zaczął opowiadać historią całego miesiąca przesiedzianego w podziemiach i polowania na niemców. On sam dziewięciu położył.

— To są jeszcze zuchy na świecie! — mówił dziwując się — a ja myślałem, że wszyscy wyginęli pod Waterloo.

W chacie żołnierza z pod Waterloo zapanaowała rzetelna radość. Szczęście wyglądało z oczu rozbitków i ich uśmiechów. Nie byli w karczmie, ani w gościnie u pikardyjskiego chłopca, lecz u starego kolegi. Gorąca kawa wy-

borna—koniak do niej dolany wyśmienity—biały chleb i słonina przednia. Staruszek nie chciał wziąć żadnej zapłaty, ofiarując się odprowadzić swych gości na dworzec, lecz nie mógł odmówić prezentu z pikardyjskiej gęsi.

X.

W parę minut po przyjeździe na stacyą pociąg zajechał. Konduktor otworzył pierwszą klasę naszym zuchom. Była to pierwsza oznaka owacyi.

Rozrzewniony staruszek, ściskając ręce swym gościom, powtarzał:

— Są jeszcze zuchy, a ja myślałem, że wszyscy wyginęli pod Waterloo.

Lokomotywa świsnęła, pociąg zatrzymując się po minucie na większych stacyach, w dwie godziny stanął w Dieppe.

Leśnik z dubeltówką, dwóch ułanów z armii uzbrojonych w karabiny, przy nich pikardynka budzili w mieście żywe zajęcie. Jeden z obywateli, zapytany przez oficera o koszary gwardyi narodowej, sam się ofiarował za przewodnika. Do naszej gromadki przyłączyło się kilku gorących patryotów. Po drodze ludzi przybywało coraz więcej, tak, że koszary gwardyi otaczał okazały tłum.

Porucznik zdał raport komendantowi krótko i węzłowato, robiąc bohaterem leśnika.

Dowódca gwardyi narodowej uśmiechał się zacierając ręce, a że był mówcą i lubiał mówić, wyprowadził przed koszary naszych zuchów i zgromadzonemu ludowi opowiedział dzieje dni spędzonych w podziemiach, oraz czyny dokonane w lesie przy przechodzie prawego skrzydła armii niemieckiej.

Entuzjazm był wielki,—okrzyki na cześć Francyi rzeczypospolitej nieustające.

Pochwycono przybyszów pośród siebie, prowadząc do najbliższej kawiarni.

Wśród mów, wiwatów i okrzyków,—wśród staré przy tej sposobności republikanów z bonapartystami, nasi znajomi dowiedzieli się szczegółów o gotowości do wymarszu armii loarskiej i o formowaniu się armii północnej pod rozkazami dzielnego jenerała Faidherbe'a.

Oficer oświadczył gotowość wymarszu nazajutrz na linię bojową, podoficer poszedł w ślad za swym porucznikiem, leśnik odurzony owacyami i własnem bohaterstwem, o którym nabrał dopiero pojęcia po mowach komendanta gwardyi i wypowiedzianych na jego cześć w kawiarni, oświadczył głośno, że kiedy ojczyzna w potrzebie, on choć stary, nie opuści jej; a że go ręka i oko nie zawodzą, idzie do strzelców.

Przemowa starego krótka a gorąca, obu-

dziła powszechny entuzjazm. Kilku obecnych w kawiarni oświadczyło gotowość wstąpienia do armii. Właściciel sklepu broni ofiarował staremu remingtonowski karabin o szesnastu strzałach. Stary przysiągł, że każdy strzał musi być celnym. Właścicielka kawiarni zabrała córkę leśnika do siebie, oświadczając się z gotowością udzielenia jej gościnności do powrotu ojca z pola bitwy. Tym sposobem czyniła zadanie patryotyzmowi i reklamie. „Bo któż nie przyjdzie zobaczyć córki starego, o którym pisać będą gazety?”

Sprawdziło się, nazajutrz artykuł wstępny miejscowego dziennika opisał z werwą wczorajszy wieczór w kawiarni pod „Wschodzącym słońcem“, a że to był dziennik republikański, skorzystał ze sposobności i zmaltretował bonapartystów.

W salach „Wschodzącego słońca“ stanęło czterdziestu wolontaryuszów pod dowództwem trzech naszych zuchów. Odprowadzała ich muzyka gwardyi narodowej na dworzec kolei.

Na czele szła właścicielka kawiarni, mając z prawej strony pikardyankę, z lewej własną córkę; za niemi postępowało trzech bohaterów w towarzystwie dwóch przewodców dwóch partyi, oraz komendanta gwardyi narodowej. Dalej w zwartych szeregach maszerowali wolontaryusze, trzymając się pod ręce ze swymi przy-

jaciołmi. Orszak zamykała kompania piechoty gwardyi narodowej. Wszystkie okna były otwarte, a z każdego powiewały chusteczki dam, ulice zalegli mężczyźni. Francuzi przepadają za owacyami, a kochają się w manifestacjach.

Dopiero na dworcu kolei oczy zachodziły łzami, serca zaczęły się ścisnąć. Każdego z ochotników otaczała gromadka krewnych i przyjaciół — ostatnie słowa pożegnania, — miłości — ostatnie łzy...

W samym rogu salonu dziewczyna tuliła się do ojca, szeptała mu, że jej lepiej było z nim w podziemiach, niż będzie samej w wielkim mieście u obcych ludzi.

Zadzwoniono—Anusia ucałowała ojca, podała rękę porucznikowi, lecz gdy podoficer swą rękę do niej wyciągnął, załzała się łzami...

Lokomotywa świsnęła—pociąg ruszył przy okrzykach tych, którzy jechali — i tych którzy zostali.

Łzy dziewczyny widział porucznik, był zły, lecz uśmiechał się ironicznie i z pewnym rodzajem litości patrzył na podoficera. Stary również widział łzy dziewczyny i uśmiechał się dobrotnie. Widocznie marzył, bo głową w takt swych myśli poruszał. Widział łzy dziewczęcia podoficer, lecz nie myślał o nich, ani się uśmiechał, on je czuł pod sercem i wiozł je z sobą.

Jenerał Faidherbe, młody i dzielny żołnierz, serdecznie, po koleżeńsku przyjął porucznika i jego towarzyszy. Słyszał już o młodym oficerze, a nawet pamiętał drukowaną o nim wzmiankę w rozkazie dziennym podczas odwrotu korpusu, w którego tylnej straży dzielnie walczyły dwa szwadrony ułanów.

Stopień pierwszego porucznika w pierwszym plutonie otrzymał podoficer.

Leśnik słysząc to, miał łzy w oczach i stanął przed jenerałem ze swym remingtonowskim karabinem.

— No stary, dobierz sobie czterdziestu zuchów a dobrych strzelców, wyprowadzisz ich w ogień i nauczysz sprzątać prusaków, jak w lesie sam ich sprzątałeś...

Na tem się skończyła audyencya.

Znane są dzieje armii loarskiej i armii północnej pod wodzą dzielnego jenerała Faidherbe'a. Z początku bili Niemców, lecz w końcu Niemcy zwyciężyli.

Napróżno oficer, dowódca szwadronu przypuszczał szarżę, napróżno stary ze swą garstką czterdziestu sprzątał Niemców — napróżno!... Młodość żołnierzy, zimno, wielkie zasypy śniegu i celne strzały niemieckie zmusiły patryotyczne szeregi do odwrotu.

*

*

*

W parę miesięcy po zawarciu pokoju a ustąpieniu z terytorium Niemców, pracowało sześciu ludzi, dźwigając dach stodoły leśnika. Obórka już stała, a w niej, obok krowy, rżał arab i szyję wyciągał do pieszczącej go dziewczyny.

— Ależ ja nie mam czasu, — mówiła głaszcząc go, — muszę pamiętać o gościu. Przyszedeł aż tu za mną, — słyszysz? za mną!

Teraz twój pan już nie nazywa się ani Józefem, ani podoficerem, — wszyscy go tytułują panem porucznikiem. I chociaż jest porucznikiem, powrócił.

Mogłam i ja z tobą i Neronem zostać u pani Tribou, lecz coś mnie popychało, chociażby na śmierć... iść musiałam. I widzisz, dobrze się stało.

— O twoim dawnym panu, oficerze, nie nie słyhać. Ani się odezwie, już nie dba o nas. Pewno myśli o odwecie—i zdaje mu się, że będzie generałem. A niech myśli o czem chce, ty zostaniesz z nami. Z początku będziemy tu mieszkali przy ojcu, a jak się dorobimy, przeniesiemy się do miasta, i tam nas będą szanować. Ojciec Józefa lubi i mało teraz opowiada o podziemiu, a dużo o jenerale Faidherbe i armii północnej. Ludzie go słuchają, zazdroszczą mu, ale cenią wysoko, bo powstają gdy wchodzi.

— Dziewczyno, obiad! — rozległ się głos leśnika.

— Anusia wybiegła i zobaczyła naprzód czarne oczy porucznika Józefa i uśmiechniętą twarz Tribou, który przyszedł pomagać, wywdzięczając się za niemieckie konie.

— Anusia nie dba o nas, i dlatego radzę ci poruczniku, nie kochaj jej, — mówił żartując stary, ozdobiony wstążeczką legii.

Dziewczyna cała różowa skryła się w białych ścianach dworku. Goniły ją śmiechy—bas ojca, naiwno-pikardyski tenor pana Tribou i chór czterech robotników. Goniły również serdeczne spojrzenia Józefa.

Leśnik został wyrocznią w swem kole, a koło to rozszerzało się na okoliczne wioski sąsiadujące z lasem, w którym stary panował.

Nie mówiono o rannym oficerze, nie wspomniano go nawet—nigdy. On również zaledwo tylko we śnie widział podziemia, a w nich za mgłą niepamięci twarze leśnika i jego córki — jednak jego myśli, dzielność i poczucie obowiązków względem ojczyzny, żyły i rozwijały się przez tych, których kochać ojczyznę i poświęcać się dla niej nauczył.

Takie są dzieje ziarn, rzucanych przykładem nawet bez myśli siewu.

K O N I E C .

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

130733

Biblioteka WSP Kielce



0150179